

Ger. W.

DOBRA GRABOWO.
WAGA.

✓
1858
POEZYJE

TEOFILA

LENARTOWICZA.

W DWÓCH CZĘŚCIACH.

**DOBRA GRABOWO.
WAGA.**

WARSZAWA.

Nakładem **ALEKSANDRA NOWOLECKIEGO**, Księgarza

PRZY ROGU ULICY KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE I SENATORSKIEJ,
WPROST KOLUMNY ZYGMUNTA, N. 457.

1858.



Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa d. 17 (29) Sierpnia 1857 r.

p. o. Starszego Cenzora,

Assessor Kollegialny, A. Broniewski.

72

w Drukarni J. Jaworskiego.

77

SPIS RZECZY.

CZEŚĆ PIERWSZA.

	Stron.
Mały Świątek.....	5
Książę na Ostrogu (wyjątki z Baśni).....	39
Dzieci. Obrazek na ścianę chłopskiej chaty.....	53
Apostołowie.....	69
Pożegnanie.....	93
Dumka.....	97
Wspomnienie do L. H.....	98
Pokłosie.....	103
Spotkanie.....	107
Lato.....	111
Za Aniołem.....	115
Łzy.....	117
Kapryśna.....	119
Jaskółka.....	121
Mazur za wołami.....	123
Jak to na Mazowszu.....	131
Chłopak.....	135
Dziewczyna.....	139
Hulań.....	141
Nasza dziewczyna.....	143
Mazur.....	147
Dzwony.....	151

CZEŚĆ DRUGA.

Wierz do poezyi.....	3
Kindżał. (Przekład z Lermontowa).....	6
Goląbek.....	8
Gopło.....	13
Nowy Rok.....	18
Idealy.....	21

	Stron.
Moje strony.....	26
Italia.....	30
Złota kaczka.....	34
Strzelec.....	37
Wspomnienie.....	41
Sierota.....	44
Dumka.....	46
Wieczór.....	48
Obraz po burzy.....	52
Jan Kochanowski.....	56
Tęsknota.....	60
Niema Modlitwa.....	63
Brat i Siostra.....	66
Anioł i dziewczyna.....	68
Pieśń ukraińska.....	70
Kalina.....	72
Dwa dęby.....	74
Komu wianeczek.....	76
Ruskie piosnki ludowe { Trzy kukulki.....	78
{ Dwie zorze.....	80
Rusalka.....	82
Dwa pogrzeby.....	83
Listy ze wsi.....	87

MALY SWIATEK.

CZEŚĆ I.

Wszystko jest w nich.
Jako że w nich jest.
Jako że w nich jest.

Jako ja sobie

Domek ozdobię.

Ten modrzewiowy.

Dworzec ogrody.

Najpierw przed drzwiami

Lipę zasadzę.

Wokoło piętary

Sad oprowadzę.

Maja strony.....	26
Halla.....	30
Złota kaczka.....	34
Szelecie.....	37
Wspomnienie.....	41
Siewots.....	44
Dumka.....	48
Wieczór.....	52
Obraz po barcy.....	56
Jan Kochanowski.....	60
Teżkość.....	64
Mama Modliwa.....	68
Brat i Siostra.....	72
Antel i dziewczyna.....	76
Pieśń ukraińska.....	80
Kalina.....	84
Dwa ogry.....	88
Komn wieczerek.....	92
Roskie pieśni ludowe.....	96
Bazylka.....	100
Dwa pogrzeby.....	104
Łasy so wsi.....	108

I. CZĘŚĆ

MAŁY ŚWIATEK.

„Wsi spokojna, wsi wesola,
„Jakiż głos twój chwale zdola.”
Jan Kochanowski.

Jakto ja sobie

Domek ozdobię,

Ten modrzewiowy,

Dworzec ojcowy!

Najprzód przed drzwiami

Lipę zasadzę,

Wkoło płotami

Sad oprowadzę.

Stawię przy wodzie
Świętego Jana,
A na ogrodzie
Gniazdo bociana.

Będą przy stawie
Chodziły pawie,
Pod stodołami
Na ziarno pszenne
Białe gołębie,
Goście codzienne.

Jeśli kto do mnie
Łaskaw przyjedzie,
To słup przed sienią
Stoi na przedzie.

Przy nim mosiężne
Wiszą kółeczka,
Gdzie się przewleka
Długa uzdeczka.

A zechce bawić,
To jak zwyczajnie:

Konia postawić
Kaze się w stajnie;
Gdzie koniczyną,
Poza drabiną,
Przy czystym żłobie,
Przegryzie sobie.

A że wypędzić
Pragnę lenistwo,
A lubię ryby
Oraz myślistwo;
Więc już psów chmara—
Bo od ogara,
Aż do jamnika,
Co lisy dusi,
U mnie być musi.

A mam u siebie
Starego dziadka,
Co sieci robi:
To będzie siatka.

Słowem—co chcecie,
 U mnie znajdziecie:
 Ryby i grzyby,
 Mąka i łąka.

* * *

Teraz we dworze,
 Jak ja ułoży!

Wszedłszy do sieni,
 To być powinna
 Zaraz najpierwsza
 Izba gościnna.

W niej stół dębowy,
 Szafa u ściany,
 W której cynowy
 Dzban pobielan.

A zaś na ścianie
 Obraz Łazarza,
 Co to psy liżą
 Rany nędzarza.
 By mieć w pamięci

Że w szczęściu jedni,
 A drudzy ludzie
 Straszliwie biedni...

A w drugiej stancji,
 W mojej siedzibie,—
 Co kto ukochał,
 Z tém się tam zdybie.

Nad mojem łóżkiem
 Stefan Czarniecki
 Pogromca szwedzki,—
 I Jan Zamojski,—
 I ten pan wojski,
 Jan Kochanowski.

A zaś nad niemi.
 Nad dziećmi swemi,
 Twarz Matki Boskiej
 Jaśni — a w dali,
 Zbroja ze stali.

* * *

Teraz broń moja,
 Myśliwska zbroja:
 Fuzja wyborna,
 Choć niepozorna.
 Sięc dla ptasznika,
 Berło raroga,
 Szabla ma droga, —
 I nóż na dzika.

* * *

Stara kronika,
 Rymy Janowe;
 Oto, czém moję
 Zasilam głowę.

„Tam człowiek prawie
 Widzi na jawie“
 Cne ojców sprawy,
 Bitwy, zabawy.

Żelazna wiara,
 Husaryja stara,

Skrzydły sępiemi
 Rwie się od ziemi.
 Tam sejmy sławne
 I zjazdy dawne,
 Za świętą sprawą
 Bożych Aniołów,
 Toczą się żwawo
 W murach kościołów.

Zbroje i łuki,
 Zgiełk różnej broni,
 Widać tam jasno —
 Jakby na dłoni.

* * *

Myśl moja cicha,
 Jak moja chata,
 Nad dym ojczystej
 Wioski nie wzłata.

Oko nie sięga
 Dalej i szerzej,

Jak do tych lasów,
 Jak do tych krzyży,
 Jak do tej wody,
 Co płynie srebrna.
 Czyż większa mądrość
 Człeku potrzebna?

* * *

Teraz, co drogi
 Domek otacza:
 Domek ubogi
 Człeka oracza.

Kościół za wioską
 Z czerwonej cegły;
 Dwie wieże w błękit
 Jasny wybiegły.
 A na kościele
 Bocian gniazdo ściele.

A w tej świątnicy,
 Cudnej roboty,

Boga Rodzicy
 Jest obraz złoty:

Co tak łaskawie
 Patrzy na człeka,
 Że jeno prawie
 Słoweczka czeka,
 Żeby nędznemu
 Pomódz w niedoli:
 W chorobie temu,
 Temu na roli.

Tam szczęście moje,
 Tam grób i chata;
 Tam w troski, znoje
 Dusza ulata.

Tam ojców ciała
 Leżą we zbroi;
 Tam myśli moje,
 Tam wszyscy moi!

Przy drodze zdala
Karczma dla gości,
Już się obala
Z wielkiej starości.

Przed nią w niedzielę
Jedzie wesele.
Druchny na wozie
Pięknie śpiewają,
Grajki na kozie,
Na skrzypcach grają.

A państwo—młodzi,
Jako się godzi,
Cieszą się, śmieją;
Z wielkiej radości
Flaszka koleją
Kraży wśród gości.

Wszystko się wali
W progi karczemne,
I tylko wozy,
Szkapki nikczemne.

Przed karczmą stoją;
Gdzie dużo siana,
Owies i słoma
Gęsto rozsiana.

A z niej pociechy
Dość mają kury,
Wróble z pod strzechy
Spadają z góry.
Ani spostrzeże
Zkąd się to bierze.

W karczmie wesoła
Tańczy družyna:
Wysmukły chłopak,
Przy nim dziewczyna.

On patrząc na nią
Wesoło płasza,
Czapką baranią
Dumnie potrząsa:
A przyśpiewuje,

W podkówki krzesze!
Wszyscy szczęśliwi
Na tej ucieście.

Starzy ojcowie
Siedząc pod ścianą,
Piją do siebie
Kwartą blaszaną:

— „Wypijcie kumie!”

— „Bóg zapłać, kumie!”

I coś tam marzą
W tęsknej zadumie.

Dzieci gromada
Komin obsiada;
Wszędzie się miesza

Krzykliwa rzesza.

I tak od zmroku
Do białej zorzy,
Taniec nie strudzi,
Sen ich nie zmorzy.

Smutek w wieśniacze
Nie wchodzi wrota:
Śmieje się, cieszy
Szczera prostota.

Jeśli Bóg daje
Zdrowie i siłę;
To wszystko człowieku
Dobre i miłe.

* * *

Po drodze stare
Stoją chałupy,
Nad niemi dymu
Ciagną się słupy.

Przy jednej gruszka,
Lipa przy drugiej,
I tak tam drzemia
Po drodze długiej.

* * *

Zaraz poznacie
Gdzie rażna dziewczka:



Bo przy tej chacie
Ogródek, drzewka.

W ogródku lilja
I mak czerwony;
Słonecznik żółty,
K' słońcu zwrócony.

Po drodze w dali
Bieli się piasek;
Krzyż nade drogą—
I zaraz lassek.

Pod lasem, woda
Po łące płynie,
Z szumem na koła
Spada przy młynie.

I dalej leci,
Snuje się, świeci—
To blaskiem słońca,
To gwiazdy blaskiem,
Światłem miesiąca,
I zorzy brzaskiem

* * *

A teraz moje
Codzienne sprawy,
Prace i znoje,
Troski, zabawy.

Ledwie skowronek
Przywita dzionek:
Oglądam rano
Co, gdzie zorano;

I po staremu,
K' rolnictwu cnemu
Rękę przyłożę—
I ziemię orzę.

Słońce dogrzewa,
Ludzie het orzą;
Skowronek śpiewa
Na chwałę Bożą.
Choć zniknie oku
W srebrnym obłoku.

Jakby z innego
Czystszego świata,
Piosenka jego
Perłami złata.

Tak słicznie dzwoni
W błękitnej toni
Ptaszyna droga;
Jakby tam, w górze,
W czystym lazurze
Zobaczył Boga!

Gdzie zwrócę oko:
Czy na te niwy,
Czy tam, wysoko,
Takim szczęśliwy!
Oczy łzawemi
Patrząc przed siebie,
Nie wiem, czy'm w niebie,
Czy też na ziemi.

W koło piosenka
Brzmi wciąż radosna!

Tu brzoza pęka,
Tam pachnie sosna;
Tu woda wzbiera,
A z pod tej wody,
Złoty świat młody
Z fali wyziera.
Tam klucz żorawi
Ciągnie zdaleka;
Tu płochych kaczek
Para ucieka.

Lecą bociany,
Drozd, słowiki;
Pełno przedziwnej,
Żywej muzyki.

W górze rozlane
Błękitne morze,
Powietrze szklane,
Czyste.... Ach Boże!
W jakimże słowie
Człowiek wypowie

Roskosze wieśne

Polne— i leśne.

Przy końcu lata

Pracy zapłata.

Dojrzało zboże.

Więc dziatwa żywo,

Dalej na żniwo!

Bo grad spaść może.

Spieszyć się trzeba

Po dary nieba.

Złote zagony

Zda się kołyszą;—

Brzęczą jęczmiony,

Pszenice wiszą.

Sieką kosarze.

Śmiechy, ochota,

Choć w słońca skwarze,

Ciężka robota.

Żniwa skończone,

Snopy zwiezione;

Żeńcy się spieszą,

Skaczą, a cieszą.

Więc przodownica,

Krasna dziewica,

W złotym prześlicznym,

Wieńcu pszenicznym,

Z sierpem na przedzie

Żniwiarzy wiedzie.

Przy brzękach kosy,

Skrzypieniu stron,

Gromadne głosy:

„Plon niesiem, plon!”

Miłe dla człeka,

Słyszę zdaleka.

Och! komu oczy

We łzach nie staną,

Słyszac tę szczerą

Piosnkę śpiewaną?

Kto się nie cieszy

Z niemi jak dziecię:

Nie ma co robić
Na Bożym świecie!

Do późnej nocy
Pod lipą starą,
Tańczę z moją
Pocziwą wiara.

Brzęk wiejskich skrzypiec,
Stary miód lipiec —
I siwych ludzi
Do tańca budzi.

* * *

Koniec dożynek,
Czas na spoczynek.
Zorza na wschodzie
Złoci się w wodzie.
Noc księżycowa
Perłami rosi,
Mgła lazurowa
Z wód się podnosi.

Szerokie pole.
Spią chaty w dole,
Gwiazdy migocą,
W wodzie się złocą.

Tam brzoza biała
Włosy rozwiała;
Tu olchy błotne
Rosną wilgotne.
Noc wonna, cicha,
W liściach wiatr wzdycha.
Tam bębnią bąki
Z zielonej łąki;
Z jezior głębobich,
Z Niebios wysokich
Gwiazdka przeleci.

W długiej dolinie,
W dalekim jarze,
Pastuch za bydłem
Gra na fujarze.

O nocy cicha
W ojczystej stronie!

Łąk świeżych wonią
Powiędź na skronie!

Niech jak liljana
Zamknę się w siebie,
I śnię do rana
O jasnym niebie.

Aż się rozwinie
Dusza tęskniąca,
W najczystsze światło
Wiecznego słońca.

* * *

Źródłany, czysty,
Jak wonny kwiatek,
Domek ojczysty:
Moj mały światek.

Burze, pioruny,
Co biją w dali,
Znane mi tylko
Z deszczowej fali.

Z drzew wywróconych,
Z zmokłych paproci,
Z tęczy zakreślonych
Na chmur wilgoci.

Inna tu burza
Dnia nie zachmurza!

Zabiegi marne,
Podstępny czarne,
Mowy złośliwe,
Słowa zelżywe:
Anioł stróż cnoty,
Srebrnymi loty
Od wioski cichój
Odpędza grzechy.

* * *

Już jesień dżdżysta!
Liść spada z drzewa,
W nagich gałęziach
Ptaszek nie śpiewa

Pod stopą liście
 Szronem zwarzone;
 Jak dni młodości
 Marnie stracone.
 Bezbarwne, suche,
 Wiotkie a kruche,
 Płochy wiatr niesie
 Po ciemnym lesie.

A drzewa! Drzewa
 Ludziom podobne.
 Bezlistne, zmokłe,
 Jakieś żałobne.
 Czarne w niebiosach
 Wznoszą konary;
 Jak człęk, co wraca
 Na drogę wiary.

Bocianie gniazdo,
 Zębata brona,
 Na wierzchu drzewa
 Osamotniona.

I nago, chłodno,
 I nic już nie ma.
 Mroźna pogoda,
 Nadchodzi zima.

Jak brylantowe,
 Drzewa się świecą,
 Pyłki srebrzyste
 W powietrzu lecą.

Zamarzły wody,
 Białe zagony.
 Po drodze głodne
 Włóczą się wrony.

Śniegi ubite
 Pod nogą skrzypią;
 A wiatry szczypią
 Lice odkryte.

Więc się na komin
 Drzewa nakłada,
 I z starą księgą
 Przed ogniem siada.

Dwa psy ogary
Przyległszy blisko,
Drzemia spokojnie,
Patrzac w ognisko.

To ogień buchnie,
To iskra pryśnie;
Szabla na ścianie,
W półksieżyc błysnie.

Na okna kwiaty
Zaszły śnieżyste,—
Na które miesiąc
Promienie czyste
Rzuca z wysoka,—
I brylantuje;
Na szklistej kanwie
Srébrem haftuje.
Izba w półcieniu,
Wszystko w uśpieniu.

O—jak to miło
Przy tym kominie,

Wędrować myślą
W marzeń krainie!

Płomień opada,
Węgłe się złocą,
Popiół osiada,
Iskry migocą.

A człowiek sobie
Bóg wie co snuje!
Z żaru, z popiołów
Zamki buduje;
Kościołów dachy
Ze złotej blachy;
Jasne, przeczyste
Chaty ojczyste.

I sam ze sobą
W milczeniu gwarzę,
O jakichż cudach
W ówczas nie marzę!

Cisza w około....
Tylko piosenka

Z chałup, gdzie drobne
Świecą okienka,
Jakby z za świata,
Do mnie dolata.

Tam prądki ciągną,
Pod strzechą starą,
Ze lnu, konopi,
Długą nić szarą

A z serca ciągną
Nici srebrzyste:
Długie powieści,
Pieśni ojczyste.

To o księżniczce
Zaczarowanėj;
To jak Pan Jezus
W ludzkiej postaci
Schodzi do chatek,
Do biednej braci.
I między dzieci,
Trzódkę małeńką,

Rozdziela dary
Najświętszą ręką.

* * *

Tak marzy wioska
W cichėj dolinie,—

A Matka Boska

Co górą płynie,

Nad schylonemi

Dwory i chaty,

Wiodąc aniołów

Orszak Skrzydlaty—

Z niebios wysokich

Zniża się w locie,

I błogosławi

Cichėj prostocie.

A w tedy ludzie,

Snem słodkim zdjęci,

Po dziennym trudzie

Schylają głowy—

I śpią jak święci.

I czego ludzkie
Nie dojrzy oko,—
Tam, nad gwiazdami,
W niebie wysoko,
Widzę tę Panią
W jasności złotej.

A dusze zmarłe,
Dzieci sieroty,
Starce, dziewczyny
W liljowej bieli.....
I ci, co w wojnie
Walcząc, zginęli,
Przy swęj królowej,
W śnieżnym obłoku,
Jak pełne róże
Jawia się oku.

Matka królowa
Z świętą dzieciną,
Przy niej szczęśliwe
Po niebie płyną.

A wyciągnięte
Ku ziemi dłonie,
Ziarenka złote
Sieją na błonie.

I w serca ludzkie
Temi ziarnami,
Co to się zowią
Bujnemi łzami.

I okrywają
Tą lamą złotą,
Co to się zowie
Na świecie cnotą.

I oczyszczają
Tym jasnym zdrojem,
Co to się zowie
Serca spokojem.

Duch prosty słyszy
Ten głos w przestrzeni:
„Ubodzy, ciszy,
„Błogosławieni!”

A wysłanie...
 Ku ziem...
 Kłania...
 Się na...
 Widzę...
 I w sercu...
 Temi...
 Co to się...
 Różni...
 Starce...
 Tę...
 Co to...
 Walczy...
 Przy...
 Tym...
 Co to...
 Serca...
 Duch...
 Ten...
 Przy...
 Po...

WYJĄTKI Z BAŚNI

p. n.

KSIAŻE NA OSTROGU.

W najmilsze brzęknę struny....

Bo ci w ustach skrzepły słowa,
 I coś piersi ledwie dyszą,
 I spuszczone na dół głowa,
 I kozackie wąsy wiszą!

I ja nie znam co rozkosze,
 Całe życie biędę noszę;

Lecz choć nieraz mi zaskurzy,
To ja śmieję się w najlepsze:
Zobaczmy kogo dłużej,
Zobaczmy które przeprze!

Miałem chatę gdzieś pod słomą,
Gdziem się rodził, gdziem się bawił
Aż tu, ojcie, nie wiadomo
Zkądś na stepie czort się zjawił.
Jak wziął kręcić tumanami,
Nieść snopami, rwać dachami;
Tak najpierw z mojej chaty
Porozrzucił snopki, łaty;
Potem w zęby złapał drzewo,
I na prawo — i na lewo
Nuż szamotać wśród wichury:
Pogryzł ściany w drobne wióry.

Miałem konia od Czumaka,
Kupił jego za psie grosze;
Czumak sprzedał konia — ptaka,
Tożto chodził, widzieć proszę!
Niech daruje pan dobrodziej,

Dziewka w tańcu tak nie chodzi!
Czumak głupi zna się może
Na stokfiszu, na wyzinie,
I na sadle, co w rogoże,
W maty, w czorty jak owinie; —
To i wiezie w woły siwe
Do Odessy, do Kijowa.
Nie czumacza na to głowa,
Żeby konie znać prawdziwe!
Wziął trzy woły na zamianę.
Oj! takiego jak bułany,
To już, ojcie mój kochany,
Chyba w niebie tam dostanę!

Zajeździłem konia w drodze
Do dziewczyny, do niewiernej;
A dziś, Boże miłosierny,
Z krzywym kijem po wsi chodzę!
Trudna rada! Jednak żyję,
Na pociechę wódkę piję;
Wódkę piję, w torban dzwonię,
Miła w sercu dawna nuta!

I z dnia na dzień biedę gonię,

Taki oto szaląputa.

Jeszcze tylko torban służy

O trzech strunach. Ej! ładaco,

Reszty kupić niema za co.

Niechaj służy, jak najdłużej!

Bo jedyna to pociecha!...

Jak się spojrzę na to drewno,

Jak się do mnie tęskno, rzewno

Torbanisko to uśmiecha:

To mi w piersiach tak przestrono,

Tak stepowy wiatr tam wchodzi,

Tak się w duszy coś pogodzi,

Jak tych niebios jasne łono!

Kiedy zorza nad stepami

Bożym świtem się rozplonie...

Kładę palce nad strunami

I powoli brzęczę, dzwonię,

Aż zagrają dумы w głowie.

Niechże w tedy kto mi powie,

Że ja kozak nieszczęśliwy.

Ja szczęśliwy, jak Bóg żywy!

..... O słobodzie

Zawsze pełna myśli głowa,

O słobodzie, o narodzie!...

Co to, ojczy, wasza dola

Była jeszcze kiedyś gorszą,

Gdy Ostrogski wyszedł w pola

I nuż sprawnie grać pod *Orszą*.

Z nim młodce, by step bujny,

Poruszany tchnieniem sławy;

Byłto hetman mądry, czujny,

Godny czapli i buławy.

Głowa harda, podgolona.

A was taki... na ramiona!

Zawsze ręka z szablą razem,

Jak żelazo ze żelazem.

Gdy się modli, bierze skrucha,

Kiedy mówi, czuj duch słucha.

Kto niezaznał co niedola,

Ten nie z chęcią idzie w pola:

Lecz Konstanty znał się na tém,

To i wiedział komu bratem!...

Oj! jak orzeł za szczeblami,
 Tak on siedział za kratami.
 Kajdanami, obręczkami,
 Poprzerzywał białe nogi;
 Żelaznemi naręczniami
 Skrwawił ręce. Boże drogi!
 W ciemnej jamie, na rogoży,
 Czy noc chmurna, czy dzień Boży,
 Kto się dowie? Ot swoboda,
 Słup i łańcuch, chleb i woda!

I tak byłby zmarniał może
 Wysiadując tę niewolę,
 Gdyby nie był się w sokołę
 Zmienił postać,—I nad mury
 Nie wyleciał ponad chmury
 Na rodzinne Zaporozie!

Wtedy kozak, jak ja oto,
 Siedział, piejąc dumkę złotą,
 A koń przy nim szczypał trawę.
 Jedną razą... kiedy łzawe

Zwróci oczy—aż tu z góry
 Leci sokół szparkopióry,
 Leci, leci i upada.
 A no, tak nasz brat zagada:
 —„Hej! ty ptaku z której strony?
 Czy daleka twoja droga,
 Co tam robi utęskniony,
 Uwięziony kniaź z Ostroga?”
 Na to sokół: — „Bracie miły!
 Przedzierzgnął się w ptasią postać,
 I tak leciał co miał siły,
 Byle się na stepy dostać.
 I przyleciał w Zaporozie,
 Od poroga do poroga:
 „Na koń bracia! w imię Boże!
 Ja to jestem kniaź z Ostroga.”
 I przemienił się w hetmana,
 W kozackiego atamana!

Ach! tak zaraz sto kureni
 Konno, zbrojno wystąpiło—
 A co potem ojciec było!

Jeszcze dziś się step czerwieni,
 Jak się szable rozmachały,
 Jak się spisy rozigrały!

Jaka dusza! och! jedyna.
 Było, weźmie żupan suty,
 Pas ze złota, krasne buty,
 To się śmieje. Hej! Dubyna!
 Ty lackiego widzisz pana,
 Nie kozaków atamana.
 — „Wirno batku” a gdzie smoła?”

I z pięknego, jak anioła,
 Czarny djabeł — ojciec drogi,
 Kapią smołą ręce, nogi,
 Taki miły, ot brat wierny,
 Ach ty Boże miłosierny!

A w Stambule, w Trebiządzie
 Sułtanowi jak podkadził,
 Wszystkie dziewczki mu pocadził.
 Płomień straszny, jak na sądzie
 Ostatecznym. Sułtan kłania,
 A on jego wziął za ucho:

„Nie chcę twego przepraszania

A nie ujdiesz mi na sucho.

Dosyć tobie w świecie broić,

Trzeba ciebie uspokoić.”

To się sułtan kłania, prosi,

Co ma tylko wszystko znosi:

Srebro, złoto, atlas biały.

Nic nie nada: „Weź ty sobie!

Na co nam się srebra zdały?

Ja atlasem nie ozdobię

Moją duszę.” To znów błaga.

Ale wszystko nie pomaga!

Aż dopiero na Talmudzie

Jak poprzysiągł, że nie ruszy

Chrześcijańskiej żadnej duszy;

Tak dopiero nasi ludzie

Odstąpili: „Dziękuj Bogu,

A znaj kniazia na Ostrogu,”

Gdy postarzał, że z świetlicy

Nie mógł na świat wiele chodzić,

By tęsknotę ułagodzić,

Kazał sobie przy łożnicy
 Na torbanie co dzień grywać,
 I kozackie dumy śpiewać.
 To jak nieraz się zasłucha,
 Siedzi martwy, jak bez ducha:
 Ręce na pierś założone,
 Tylko usta uśmiechnione,
 Tylko wąż się czasem ruszy.
 Kiedy mu tam coś do duszy
 Jakoś więcej przemówiło;
 To się oko roziskrzyło,—
 I odetchnął jakby zdrowe
 Pił powietrze to stepowe!
 Gdy usłyszał rzenie koni,
 To leżący hetman stary
 Wyschłą ręką macał broni,
 Na pogany, na Tatary!
 I tak oto, miły panie,
 Skończył hetman przy torbanie,
 Sławny człowiek!....
To ja nieraz
 Kiedy dziad pod cerkwią siedział,

Były grosze, nie jak teraz,
 To i dałem, by powiedział
 Tój Przeczystej, temu Zbawcy,
 O hetmanie, Ukrainie;
 To dziad siwą głową skinie,
 Więc jak z Bogiem się rozgada,
 To mu z oczu łza upada.
 Bo to mówią, że Piotr święty
 Póty nieba nie odkryje,
 Aż człęk łzami się obmyje,
 Aż to wszystko, co przeklęty
 Czart narzuca, nie oczyści,
 Wszystkich grzechów nienawiści.

* * *

Jak nic nie mam, a coś czuję
 Że się z światem poprobuję.
 Stracił siodło, kozuch, konia,
 Pogardziła harda Donia,
 Nie ma maty, ani chaty,
 Ukraina moja maty,

Puszczaż czortu! Piosnka dzwoni
 Na dobranoc mojej Doni!
 Kiedy stepem, w nocną ciszę,
 Kozak w siodle się kołysze,
 A bułany pod nim prycha:
 Uciekają wszystkie licha,
 I kryją się w owęj porze,
 Jak tumany na jeziorze.
 Kiedy słońce spojrzy na dno,
 Tak zaginą i przepadną,
 Jak to dzikich gęsi granie,
 Co to lecą nad stepami,
 I przelecą.... i czasami
 Słychać tylko ich gęganie!

DZIECI.

OBRAZEK NA ŚCIANĘ CHŁOPSKIEJ CHATY

OFIAROWANY

pani Franciszce z Wilczyńskich M.....

Za prawdę, za prawdę powiadam wam,
 jeżeli się nie staniecie jako te dzieciątka,
 nie wnikdziecie do Królestwa Niebieskiego.

Pójdźcie Grzegorzu, Walku a Staszku,
 Moj rówienniku, mój szary ptaszku;
 Wydarza nam się szczęśna godzina:
 Gwiazda na wschodzie świecić poczyna.
 Hejno! jak bieli ciemność topieli,
 Teraz na piasku, smużyna blasku:

—Gwiazdko! gwiazdeczko! gdzie Bóg prowadzi
 Powiedz-że, powiedz, bo i my radzi?...

—Moście, moi, daleka droga:
 Dzieciatko czeka, matka nieboga,
 Józef się patrzy z ciemnego kąta,
 Mały aniołek szopkę poprzęta,
 Osiołek chucha, wołek przeżuwa,
 A sam Bóg-Ojciec na niebie czuwa.

Idą królowie, świata panowie.
 Złote korony mają na głowie,
 I płaszcze lite, złotem naszyte
 Za gwiazdką bieżą, drogi nie wiedzą,
 Na ich wielbłędach murzyny siedzą:
 Murzyny siedzą z drogiemi skrzynki,
 Z myrrą, kadzidłem dla tej dzieciuki.

Nad wodą stają, na piaskach leżą,
 Perły, brylanty, garściami mierzą.

—Pójdźcie Grzegorzu, Walku a Staszku,
 Mój rówienniku, mój szary ptaszku.
 Owo Betleem pod modrą górą,
 Cztery drożyny, nie wiada którą?

—Prosto! hej! prosto, a znajdziem do dnia,
 Za miasto idzie gwiazda przewodnia.

—Mój miły bracie, trza było wcześniej,
 Zabrakło czasu dla naszej pieśni.

Najświętsza dziecku otula nóżki,
 W krasne opaski, w jasne pieluszki;

Siwy osiołek uszami strzyże,
 Biedne zwierzątko! nie bardzo chyże:

Czasem się uprze, czasem poleci,
 A tu żołnierze szukają dzieci..

Idą, już idą, Józef na przedzie
 Kijem się wspiera, bydlądko wiedzie;
 A przy dzieciatku i przy panience,
 Widać przejasne główki i ręce.

Lecą, przeleca: w dole to w górze,
 Jakby się srebrne goniły róże,

O! Matko Boża!...

—Spieszmy się, spieszmy,
 Panu naszemu drogę zabieźmy,
 Plasterek miodu podać na szmatce,
 Temu dzieciatku, tej świętej matce,

Dla naszej jednej w świecie pociechy,
 Dzbaneczek mleka, leśne orzechy:
 Bo to Paniątko, a my cóż? bieda:
 Dzień nam się głodu we znaki nie da,
 Gdy na przednowku we wielkie głody
 Warzymy jeno bedłki, lebiody.
 Już przejechali piaski i laski,
 Góry nie góry jakby obrazki,
 Wszystko niebieskie jak woda w stawie,
 A czasem złote jak piórko pawie;
 Żmijom, padalcom, paluszkciem groził,
 Po smokach deptał, na lwie się woził....
 O Jezu! Jezu!...

Hejno! studzienka,

Gdzie chusty prała Matka-Panienka,
 Między drzewami zdroik przezroczy:
 Weźmy-no wody, przemijmy oczy,
 A dojrzym prędzej, gdzie nam się podział.
 Niebem się okrył, obłokiem odział,
 Widać go, widać... z zaleśnej figi
 Święte pachole gada na migi
 Z temi główkami, co się doń miecą,

Wietrzyki dzwonią, strumienie lecą,
 Całemu światu Kwietnia Niedziela....
 Po ziemi liść się wdzięcznie rozściela,
 Białemi dzwonki ciągną powoje.

—A co tam robi Paniątko moje?....

—Coś sobie wije—róże, lilije,

Bogać lilije:—ciernie a głogi,

W onych jasnościach Zbawiciel drogi.

Józef staruszek, boży parobek,

Siekierką złobi ciósowy żłobek,

Modrą sukmanę coraz zarzuci:

To robi, robi, to nuci, nuci,

Kto się w opiekę....

Tymczasem z kraja,

Obca dziecina to się przyczaja,

To raz przyklęknie, by do pacierza,

To ręce składa, to je rozszerza,

A krzyżyk z trzciny w rękach dzieciny:

To Janek z puszczy... Za Jankiem, jagnie,

Bieluchne jagnie, do matki pragnie:

To się zatrzyma, to się zacieknie,

Na cierniach, głogach, żałośnie beknie
Jako jagniątko....

— Witaj Jasiuchno!...

Jużeśto z puszczy? już tak raniuchno?
Ledwie że słońce weszło nad bramą,
I takeś samo przyszło?....

— A, samo....

Dla ciebie Boże, gdy się położę
Co oczy zamknę to je otworzę.
Świt, świt, skowronek budzi mnie wczesny,
Dzień, dzień mój biały śpiewa mi we sny.
I ja też wstaję z mchowej kołębki,
Nieraz pod wodą śpią jeszcze rybki
A ja już nie śpię.... W cichym Jordanie
Ledwie się mieni jasne świtanie,
A ja już w drodze: bo mi do ciebie
Wiatrem po liściu, gwiazdką po niebie,
Myślą po głowie....

— Moja sieroto!

— Spójrzyno Stachu jak rączki plotą,
Aż mi coś w sercu z radości szlocha:

Dwoje dzieciątek na śmierć się kocha.
Więc Józef daje folgę siekierze,
I pacholątko na ręce bierze;
A one z żywą liczka pogodą
Bawi się z siwą staruszka brodą.
Jedną, okrągłą trzyma się szyi,
Drugą, słonecznej sięga lili,
Co z Józefowej laski srebrzyście
Rozwija przed nim swe sześćcio-liście.

— Puść mnie już, puść mnie, pójdę na ziemię—
Józef kochane uwalnia brzemię:
—A gdzie paniczu?

—O tam na wzgórek,
Gdzie się coś bieli jak kilka piórek.
Oj! to nie piórka: nie polne kwiaty,
Bielą ze wzgóрка niewieście szaty,
A dalej palma, a jeszcze dalej
Zamek królewski w gruzy się wali,
A niebo ciche....

—Do miejskich dzieci?
Józef staruszek pomagać chce ci.

—Nie, nie—zostańcie, ojcie piastunie.

Z świętych się ramion ptaszkiem zesunie,

I już na ziemi, już w drodze z Jankiem,

Z owym krzyżykiem, z owym barankiem.

Mały pustelnik pracuje szczerze,

Przed panem swoim wyrzuca perze,

Wszelką posługę dzieciątka czyni:

Jeden, jedyny głos na pustyni.

To i my zanim z boku przystaniem,

Górá, doliną, różą, kaliną.

Wyszły dzieciątka jak owiec trzódka:

Pan Jezus idzie do tego ludka,

A one patrzą, każde się garnie,

Jakby otworzył drzwi do owczarnie

I sól pokazał.

Dziwy, przedziwy,

Jakto przy panu każdy szczęśliwy!

Każde się czoło k'niemu podniosło,

Każdemu jakby serca przyrosło.

Samo po sobie spogląda mnóstwo,

Jużciż ubóstwo, a nie ubóstwo....

Ledwie ramiona święte otworzył,

Już jakby szczęścia ludziom przysporzył:

Pójdźcie ubodzy! ja was wzbogacę,

Pójdźcie skrzywdzeni... ja wam zapłacę.

Dziwnie—bo cudne boże pachole!

Rzewne na ustach, jasne na czole,

Ciche a tęskne: przepiękność sama.

Wiatr mu koszulkę białą rozmama...

To też siedzące niewiasty chyżo,

Z krzykiem radości k'niemu się zbliżą

A jak się zbliżą, tak też i staną,

Patrzą, popatrzą, zegną kolano:

—Nie, to nie nasze być to nie może.

To takie piękne, że chyba Boże.

—Więc pokój z wami—od dzwonka cieniiej

Perłowem słówkiem dziecie szepleni.

Miedzy małemi pod drzewem siada

A przepowiada, a rozpowiada,

A te słuchają jak czego trzeba:

Owych powieści z jasnego nieba.

Skończył, spogląda na pracę dzieci,
I uśmiech jasne lice przeleci:

—Cóż wy robicie?...

—Ha! tak się bawim,
Stawimy zamki, kościoły stawim,
Ptaszki robimy...

—Ptaszki prawdziwe?
Prawda że piękne, ale nie żywe:
Pokażcież-że mnie...

—I patrzcie! cuda,
Stachu mój miły, jeśli nie złuda:
To mu na rękę skowronek ożył,
Ledwie go podniósł, do ust przyłożył.
Jak jeno w dziobek Jezus nadmucha,
Gliniane ptasze nabiera ducha;
Już piórka na nim, już dziobek z rogu,
Już podskakuje a śpiewa Bogu,
Jak wszystkie ptaki letniego świtu.
Masz ty paniczu dużo błękitu,
To ja się będę w błękitcie wieszał,
Ciebie wychwalał, ludzi pocieszał
Szary skowronek.

—To leć—nieboże

A śpiewaj ptaku.

Południe gorze.

Dzieci się cieszą, rękami klaszczą,
Wyniosłe drzewa liśćiami głaszczą
Sporocone czoła.. Znowu cud nowy!
Ledwie im oczy nie wyjdą z głowy:
Znów ptaszek frunął. Oj! leci, leci,
Jezus wciąż cuda robi dla dzieci,
Bo on je kocha, ho! bardzo kocha!
Nieraz się biedna matka zaszłocha,
Kiedy umarłe w mogiłę sieje;
A sieroténka w gorze się śmieje.
Bo sobie leci prędkością strzały,
W same jasności niebieskiej chwały.
O! Jezu Jezu!

Patrzajcie na nie:

Jedno uklękło przy małym Panie,
Ujęło w rękę dzianą sukienkę,
I do ust ciśnie; drugie uważa,
Jak ptaszki puszcza; jak cuda stwarza,
—Jak ty to robisz?...

—Jak ja to robię?

Co ci do tego: ja robie sobie!
Patrzaj i ciesz się z skowronkiem razem,
Co oto spadą na łąkę głazem
Z przenajbarwistrzą motylów rzeszą,
One biegają one się cieszą,
Bo nic nie wiedzą...

—Jak my szczęśliwi!

Co Pan ożywi, to i wyżywi!
Przyszło południe, pora obiadu,
Lecą słowiki z wonnego sadu,
Wiewiórki z drzewa... Zwolna, nieśmiale,
Szybują ryby w wodnym kryształu,
Mienia się złote, srebrne pancerze,
I lew przychodzi i wszelkie zwierze,
Jakie na świecie... i nic... i zgoda.
Panicz na rękę każdemu poda,
Każde pogłaszcze, pobłogosławi,
Z każdym pogada, potem odprawi:
—Idź, idź mój strusiu, idź lwie kudłaty,
Owiec mi nie bierz, nie chodź na czaty:
Z Bogiem już, z Bogiem...

Więc na kolana.

Cała kraina wymalowana
Złotem, lazurem; cisza bezpieczna,
Nad światem myśli Mądrość Przedwieczna,
Słowo zakryte w sennéj ustroni...
Słysząc jak drzewo pod cięciem dzwoni,
I jak przy studni około żłobu,
Ludzie się swarzą o ziarno bobu.

Jezus dzieciątko jeszczeby długo
Bawił z dzieciną jedną a drugą,
Gdyby nie Józef, co przyszedł po nie,
By je do matki odnieść na łonie.
Przyszedł o kiju, jak mleko broda:
—Szkoda nam ciebie, mój Boże! szkoda,
Ale cóż począć gdy trzeba, trzeba.
Za to gdy przyjdziem do twego nieba,
To już Jezusie nie zakryj twarzy
Przed tą gromadą wiejskich nędzarzy,
Co oto klęczą!

Hejno! baczenie!

Ze wszystkich piersi poszło westchnienie,

Kiedy dzieciątko rączką białą
 Jedno po drugim dziecko żegnało,
 Błogosławiło paluszka znakiem,
 A potem... cisza jak zasiał makiem.
 Płastwo po ciemnych gałązkach siada,
 Pod szare skrzydła główki podkłada,
 Tylko od czasu do czasu jeszcze,
 Słowik zaszłocha, liść zaszleszcze.

Więc święty Józef niesie na łonie
 Ono paniątko, choć nie w koronie,
 Ale w jasności całe świecące,
 Jak gdyby małe prześliczne słońce,
 Do Matki Boskiej. W górze nad głową
 Co raz to gwiazdą zabłyśnie nową
 Lazur wysoki; coraz to więcej
 Aniby zliczył ile tysięcy
 Tych gwiazd wychodzi, oczy jasnymi
 Patrzeć na Pana nieba i ziemi;
 Jak mu wiatr czesze kręcone włosy,
 Jak się przytula maleńki, bosy

Do łona starca. . . .

Z jasnego smuga,
 Gdzie jeszcze zorza świeci się długa;
 Słuchać dalekie głosy pokorne
 One żalosne pieśni wieczorne:
 „Dobranoc kwiecie, kwiecie różany,
 Dobranoc dziecię, Jezu kochany.”
 Ot i chateńka.

Skłonimy się Panu.

Wedle możności kmiecego stanu
 Złożmy u proga cośmy przynieśli,
 Dla pacholątka, świętemu cieśli.
 —Święty Józefie! przyjmijże dzbanek,
 Wianek orzechów i grzybów wianek,
 A przemów słówko jako za wielą;
 Wszyscy się ludzie w świecie wesela,
 I my by radzi. . . .

—Złożcież z ramienia

Dary z miłości a z przemożenia.
 A ci tam drudzy, co w kacie stoją,
 Co w kacie stoją, skrzypeczki stroją?
 —To kobeźnicy i grajki nasi,
 Leśni lirnicy, górscy juhasi;

Ci by też chcieli zagrać na dudzie.

—Ha! toć już wejdźcie pocziwi ludzie—

I drzwi otworzył....

Ale nie śmieli,

Bo już dzieciątku grali anieli:

Ten na skrzypeczkach, ów na basetli,

Ze zkrzydełkami, a tacy świetli!

Ów nóżką tupa, a znowu trzeci

Służy dzieciątku i na wiatr leci

Przenajśliczniejszy....

Czołem do ziemi!

My najbiedniejsi między biednemi!

Prośmy pokornie świętą dziecinę,

Przez Przenajświętszej matki przyczynę;

O długie zdrowie, o świętą zgodę,

O deszcz na wiosnę, w żniwo pogodę;

O szczęście kraju, o pobyt w raju,

O królowanie, wraz z tobą Panie

Na wieki.

APOSTOŁOWIE.

I.

Po śmierci Pana, Judea cała

W nieprzedzierzgnione mgły się owiała,

Przestały padać deszcze ozywne,

Poschły do szczytu gaje oliwne;

W gruzach miasteczek co się zapadły,

Bociany sobie gniazda pokładły,

Na brzegach jezior, na zeschłej trawie,

W cieniach cyprysów stały zórawie,

Wąż pełzający te wody chleptał,

A szakał puste ulice deptał.

Po nad bramami Jerozolimy

Gdzie nieustannie tłukły się dymy,

Po nocach jęk się rozchodził głuchy,
 Jakby pobitych proroków duchy,
 Niosąc swe wielkie księgi otwarte,
 Śpiewały straszną zniszczenia kartę.—

Fałszywi sędzie, faryzeusze,
 Którym szatany targają dusze,
 Pod jedwabistém, pyszném okryciem,
 Senni straszili przeciąglém wyciem,
 I rozdzielali drogie kotary,
 Ścigając wzrokiem płomienne mary.

Bydło rogate złożywszy głowy
 Na wypalanej roli jałowej,
 Ryk wypuszczało ciężki, podziemny,
 A dzień był każdy szary—w pół-ciemny.
 Na jedną tylko nadmorską chatę
 Słońce łagodną lało oświatę,
 Na jedną tylko wśród nocy mrocznej,
 Upadał promień gwiazdy przezrocznej,
 I na ten promień ubogiej chatki,
 Rybacy swoje zwracali statki.—

Bo owa strzecha, w porze ówczesnej
 Mieszkaniem była Matki Bolesnej,
 Która od czasu, jak syn jej miły
 Skinieniem rozbił grobowe bryły,
 I owian w świetny proporzec biały,
 Podniósł się w błękit na łono chwały,
 Uspokojona niewiasta cicha,
 Jak lilja kiedy zwolna usycha,
 Nim woniejący swój kielich zwiże,
 Nim ją z łodygi wietrzyk odbije,
 W oczekiwaniu śmierci szczęśliwej,
 Pędziła żywot rzewno-teskliwy.

Tam przed złośliwą strażą pretora,
 Ukryci w mgliste cienie wieczora:
 Powłóczystymi odziani szaty,
 Uczniowie Pana szli do jej chaty
 I rozważali w wielkiej pokorze,
 Jako się słowo spełniło Boże.—

Po wszystkich kątach, po wszystkich ławach,
 Na zamyślonych starców postawach,

Czy na niewieściej twarzy wpółskrytej,
Znać było bożej łaski prześwity.
W jednym dniu, może w jednej godzinie,
Jasny gołąbek nad nimi spłynie,
I tym lęklivym doda otuchy,
I tym nieukom da wielkie duchy,
I tym prostakom da stery ludu,
I tym najmniejszym da siłę cudu.—

Jednego ranka, gdy niespodzianie
Słońce nad morskie wstało otchłanie,
I rozjaśniło modre sklepienia,
Jak niegdyś w pierwszej chwili stworzenia;
Na chwałę Panu za dzień pogodny,
Zabrzmiały trąby i organ wodny,
I do bóżnicy lud ciągnął tłumny,
Lud najdumniejszy, bo wiarą dumny!
A szedł tak gęsto jak mgła ku niebu,
Jak starych czasów na głos z Horebu.
Aż pretor baczny a niespokojny,
Pchnął środkiem miasta swój legion zbrojny,
Bo nie dowierzał Pontyus otyły,
By taka rzesza nie miała siły;

I przeciągały wśród ludu fali,
Co chwila nowe rotty Itali,
Na ciężkich koniach, zbrojni w połowie,
Z uragowiskiem jako panowie,
I najeżdżali z dzidą wzniesioną,
Na pierzchające pacholąt grono,
Na starce, które niewiasty wiodły,
Wrzeszcząc na naród: roju ty podły!
A Heród, książę, jakby na zgodę,
Uśmiechał usta i głaskał brode.

Na jednej z ulic, w ciemnym zaułku
Leżał ubogi lud bez przytułku,
Pomiędzy którym starzec się chylał,
Co ich codziennie rybą zasilął.
Co dzień przychodził o jednej porze;
Zmnóstwem ryb drobnych w siecianym worze
I karmił głodne, spragnione poik,
I chore leczył i smutne koił.—
Przy nim niewiasta z włosom jak złoto,
Z nieopisaną oczu tęsknotą,
Niemiej boleści poddana cała,
W zblakłej purpurze idąc się chwiała.

Tam w czasie rzymskiej roty przechodu
 Zabiegła liczna zgraja narodu,
 A ochłonięta z chwilowej trwogi,
 Jęła wskazywać na lud ubogi,
 I na tych ludzi co w wilgnej dali,
 Pod murem na wpół zwalonym stali;
 I głuchy poszept krążył nawrotem,
 Na co on karmi? co jemu potem?
 Jeden co z sukni wielce się puszył,
 Rzekł: żeby lepiej płaszcz sobie uszył.

A drugi w starca patrząc przenikłe,
 W kieszeni srebrne zachował sykle.
 I marne słowa wlokły się chwile,
 Aż rudobrody stojący w tyle,
 Któremu z szaty w pół przewiązanęj,
 Wyglądał stary miecz przełamany;
 Syknął wężowym do gminu sykiem:
 On był z Jezusem Galilejczykiem,
 To on co w uszy motłochu gada,
 Że już miecz Judy rany nie zada,
 Że te Rzymiany walczyć potrzeba
 Nie mieczem ziemi, lecz mieczem nieba;

I że się cały Rzym w ziemię schowa
 Od jakiegóż ciszy, jakiegóż słowa....
 Niewiernym taki wielce przydatny,
 A ja wam klnę się że on i płatny!

Więc się wrzaskliwe podniosły głosy,
 A każde słowo jak żądło osy.
 Wśród zawieruchy, niewiasta błada
 Z zawijką co jej do piersi spada,
 Możliwsza między innymi postać,
 Jęła złośliwym językiem chłostać.
 — Czyście poslepli, toż owa pani
 Co perły drogie świeciły na niej;
 Ostanki cennych lecają jedwabi,
 I już uśmiechem słodkim nie wabi;
 A gdzie jej złoto, gdzie dyadema,
 Z tego bogactwa czy już nic nie ma?
 Gdzie jej olejki szpikanardowe,
 Czy już olejkiem nie maści głowę?
 Szkoda balsamu, taki był drogi,
 I wszystek zlał się na jego nogi.

Tu się wrzaskliwsze podniosły głosy,
 A każde słowo jak żądło osy,

I małe dzieci rączki drobnemi,
 Poczęły zbierać kamienie z ziemi. —
 Uczniowie Pana wśród tego wrzasku,
 Stali spokojnie jak łódź na piasku.
 Jan tylko jeden do góry nagle,
 Podniósł w niebiosy ręce jak żagle.

Wtedy pachole mdłe, kędzierzawe,
 Co nań zwracało oczy ciekawe,
 Cudne dzieciątko ze zgrai miejskiej
 Podniosło rączkę: Ty nazarejski!...
 I wypuściło ostrą pecynę,
 Z drobnych rąk kamień, z drobnych ust ślinę.
 Ruszone zgraje dziecka przykładem,
 Poczęły rzucać kamienie gradem,
 A piśmiennicy wśród tego gminu,
 Dopomagali śmiechem do czynu.

Biedna niewiasta krwią własną złana,
 Na błagające padła kolana;
 I zapłakała niewinnie bita,
 Jasnemi tylko włosy okryta. —
 Piotr stał poważny by skała brzeźna,

Co na niebiosach głowa jej śnieżna,
 A stopy twarde massy ścisłemi,
 Gdzieś przesiegają do środka ziemi;
 Jan jako orzeł gdy w słońce goni,
 Nie zniżył w górę wzniesionych dłoni;
 I tak czekali pełni nadzieje,
 Że wichur boży te fale zwieje.

Jakoż po chwili z końca ulicy,
 Rozległ się tentent rzymskiej konnicy,
 I cała zgraja szatańska, wściekła,
 Jakby przed wichrem piasek uciekła.

Z tententem koni i brzękiem stali,
 Przejechał hufiec dumnych Itali,
 I nie spojrzeli pyszne żołdaki,
 Niosący orły, Cezarów znaki,
 Na ów ubogi rodzaj znikomy,
 Brzemienny wielkiej zniszczeniem Romy.

II.

Z ściśniętym sercem, ze łzą zapiekłą,
 Kilkoro ludzi drogą się wlekło,

Pewni gotowej zawsze pociechy,
Do owiej Maryi nadmorskiej strzechy.

Dzień był pogodny, niebios powłoka
Tak przezroczystą była dla oka,
Żadnym obłokiem nie pochmurzona,
A wyciągnięta jak złota struna.
Palmy pod jasnym wiszące słońcem,
Zdały się nurzać w niebie gorącym,
A po wyżynach, miasteczka senne,
Białe jak niskie groby kamienne,
Poocieniane cyprysem, sosną,
Co po judejskich pagórkach rosna,
Roznosząc w okół gęsty cień szczodry,
Wychylały się z podemgły modrzej.

I mówił Jakób: o! jakże błoga
Ta ziemia Judy, dziedzictwo Boga,
Góry Syonu! góry Libanu,
Z których woń wiała przyjemna Panu.
Ani dziewica gdy w harfę dzwoni,
W uroku wiosen, podobna do niej,
Ani Cherubin skrzydło wichrowy

Nie jest piękniejszy od ziem królowej,
Z której ust płyną mleka i miody,
A z włosów wieją cedrowe chłody.
A przecież bracia jak zajrzeć drogą,
Z wiernego ludu nie ma nikogo,
Gdy konny żołdak w świecącej blasze,
Rwie kopytami obszary nasze.
Ciężko nam Panie! w dopuszcie grozy,
Ranią nam, Panie! szyję powrozy,
Kościnał poschły, i skóra cała
Jak od padalca się popadała;
I cierpim w nocy i w blasku słońca,
Jako niewiasta cierpi rodząca.
I kiedyż, Panie, co sprawiasz ludy!
Przywrócisz berło wydarte Judy?
Jeśli my winni co w nich odkryjesz?
Czemu ich chowasz? czemu nas bijesz?...

I Piotr raniony ludu kamieniem,
Westchnął do nieba strasznym westchnieniem,
Bo już zapomniał że rana boli,
Kiedy usłyszał jęki z niewoli.

Gniw Twój jak morze gdy się rozhuka,
 Zamienił miasta w mieszkanie kruka,
 Zmarszczyłeś czoło i znikła siła,
 Ziemia Izrael jak figa zgniła.
 I jako gęsi lecące rzęzą,
 Kiedy zmuszone ku ziemi ciężą,
 A spaść nie mogą, bo strzelce chiwe
 Śmiertelną ciągną na nie cięciwę,
 W jęk uderzyli, a coraz głośniej,
 Coraz żarliwiej coraz donośniej;
 I nagle zcichli i w boże strony
 Nieprzeliczone chwilei pokłony.—

Minęli Gazę pod zachód słońca,
 Ziemia pod stopą jak piec gorąca,
 Przechłodziła nieco wiatru przewiewem;
 Jakób chciał spocząć pod palmy drzewem,
 Gdy Jan rzucając wzrokiem na morze,
 Co blaskiem nieba grało w tej porze,
 Podbiegł z wesołym licem ku braci:
 —Zacz nie widzicie jasnej postaci,
 Gdzie stapa, morska woda złocistsza,
 Nie poznajecie oblicza mistrza?—

Lecz oni próżno patrząc w tę stronę,
 Widzieli tylko słońce zniżone
 I blask zachodu na falach wielki,
 I nieruchomych statków żagielki.

I byli tęskni myśli tęsknemi,
 Że mistrz oblicze zakrył przed niemi;
 Że dobrotliwe serce wszech Pana
 Umiłowało nad wszystkich Jana,
 I myśl przez głowy przeszła im płocha:
 Że Bóg przez jedno serce świat kocha.

Do koła cisza, pustka bezludna,
 Idą powoli, bo droga trudna:
 W nizinie stary namiot wygląda,
 Pastuch u źródła poi wielbłąda,
 Zdala od morza słychać fal bicie,
 I pierwsza gwiazda już na błękiecie.

Wreszcie ujrzeli cel swej podróży,
 Błogosławioną chatkę wśród wzgórz,
 Lecz jakże widna! Jak w dzień Sabatu
 Kiedy zapłonie blask Stwórcy świata.

Wiedzieli uczniu, że Marji chata
 Miewała gości innego świata,
 Że do stęsknionej w bezsenne noce
 Schodziły w blasku niebieskie moce;
 Więc pewni byli z owęj jasności,
 Że Marja miała anielskich gości.
 I chwilei sobą czy głowy zniżyć,
 Czy paść na modły, czy się przybliżyć,
 Aż słowo Piotra ciszę przerwało:
 —Pochwalmy Pana i idźmy śmiało.
 Pochwalmy Pana a zniknie trwoga,
 Ujrzym co ujrzym, chociażby Boga!
 A kto niepewny wśród duszy swojej,
 Ten pańskiej twarzy niechaj się boi.
 I jakże wielce byli zdziwieni,
 Gdy po modlitwie wszedłszy do sieni
 Zamiast promiennych niebieskich duchów,
 Ujrzeni w kozich skórach pastuchów,
 Których w gromadkę zbite baranki
 Stały spokojnie u wrót lepianki.

A w otworzystej, cichęj świetlicy,
 Obok przeczystej Bogarodzicy,

Na której czoło modra zasłona
 Jakby na niebo w fałdach zwieszona,
 Rzucała cienie, że się zdawało
 Że to już tylko dusza nie ciało.
 Szymon i Stefan przy długim stole
 Siedzieli, palce mając na czole.

Gdy od wchodzących zabrzmiało: chwała!
 Jak struna dźwięcznie izba odbrzmiała.
 Siedzące męże i lud pastuszy,
 Głos jeden wydał jak z jednej duszy.
 Więc Piotr i Jakób i Jan we troje,
 Za stołem miejsca zasiedli swoje,
 A Magdalena troską pobladła,
 U nóg przeczystej cicho przypadła.
 I była mowa o miejskiej sprawie,
 Nie o tych ranach co ciekły krwawie,
 Lecz o pogańskiej pysze niezmierniej
 I o niewoli na naród wierny.

I rzekła jedna z niewiast przysięciennych
 Jedna z tych bladych istot codziennych,

Co owinięte nędzną odzieżą,
 Z dziećmi pod murem przydrożnym leżą:
 —Gdybym ja miała pereł tak wiele,
 Ilem wylała łez na popiele,
 Po mężu siedząc na dniach pokutnych;
 A tyle groszy co westchnień smutnych;
 Toby już można zakupić światu,
 Od Tyrskich brzegów do Eufratu.
 A kto go zabił jak nie niewierny?
 A on był cichy i miłosierny
 I przed niewiernym nawet nie skłamał!
 A Pan mu w ręku mocny miecz złamał. —

I mówił starzec z głową bezwłosą:
 Nowe dni nowe nieszczęścia niosą.
 Pan wziął mi trzody, wszystkie wydechły,
 Dzieci mi okrył w śmiertelne czechły,
 Spalił mi zbożem ładowne śpichrze,
 A usta miałem coraz to cichsze.
 Lecz dziś ja na głos wołam za Jobem:
 Izrael w więzach, a ja nad grobem!
 I oczy moje, te wypłakane
 Patrząc przez domu wypadłą ścianę,

Nie widzą — tylko pogańskie syny,
 Wierne w rozproszce i miast ruiny. —

I uczenie w Pańskie wierzący słowo,
 Z czasu do czasu wstrząsali głową,
 Jakby czekając rychło się zjawi
 Messjasz, co naród z więzów wybawi. . . .
 A nie widzieli przed łyzy bujnemi,
 Że obiecany dawno był z niemi.
 On siedział cichy po Matki stronie,
 A krwią mu zaszyły pokłute skronie. —
 Na wiotkich nogach, na dłoni białej,
 Na nowo rany pozaciekały,
 Jakby się chciały odezwać żywo:
 Że cierpiał za te rzeszę tęskliwą.

Kiedy Piotr pańską przypomniał mowę,
 Znikła zeń żałość, wzniósł w górę głowę,
 I padł, przed mistrzem, co nań z wysoka
 Spoglądał całą miłością oka.
 Jak gdyby mówił: Czy i ty, starcze,
 Nie ufasz, że ja dla wszystkich starczę?

Czy i ty, skało, w gruncie się chwiejesz,
I ty, opoko, we łzy topniejesz?...

Piotr najwierniejszy kamiennie wierzył,
O niczém inném nie dychał, nie żył.
Od czasu jak swe sieci porzucił,
I wierne kroki za mistrzem zwrócił,
Ziemia dla niego była namiotem,
Ciało okryciem, a Pan żywotem.
Przecież zacierpiał acz chwilę nikła,
A z chwilą wszystko cudownie znikło.
I sam niewiedziały, patrząc w twarz Pana,
Że go bolało życie jak rana.

I cóż chcesz Piotrze? A on nic nie wie,
Starzec śmiejący po łez ulewie,
Myśli... i myśli zebrać nie może:
Ciebie mi trzeba było, mój Boże!
I niby słyszy: „Tobie poruczę,
Wiarę i miłość, niebieskie klucze.”

Lecz byli inni na duchu słabi,
Ci zawołali płaczliwie: Rabbi!

Rychłóż powrócisz Jude na państwo,
Rychłóż się skończy rzymskie poddaństwo?” —
I usłyszeli jak szmer daleki:

— „Nie wam to dano przeglądać wieki,
Ani znać czasy k'płochęj potrzebie,
Które zachował ojciec dla siebie.
Idźcie i czyńcie! W niedługiej chwili
Duch się nad wami w przepaściach schyli.” —
Zabrzmiały słowa jak nuta słodka,
I w wietrze Jezus zniknął z pośrodku.

Jako żołnierze pod wodza wodzą,
Wedle rozkazu stają i chodzą,
A nikt się wodza badać nie kusi,
Wiedząc iż rozkaz dobrym być musi; —
Tak i uczniowie za mistrza słowem,
Życiem ufałości odżyli nowém.
Członki ich wątłe, zgarbione ciała
Wiara i miłość wyprostowała.
I znaczną była na nich potęga,
Co w przyszłość silném ramieniem sięga,
A troską czasu niechwiejana wcale,
Za sobą słabe zostawia żale,

Wrzaski, potwarze, kamieniobicia,
Jak ziarno w zimie pewne ożycia.

I było widzieć jak rybak stary,
Rozmógł na trudy brązowe bary;
Jak się uciszył tą świętą ciszą,
W której wybrani głos Boga słyszą.
Już teraz Roma w piekle zagrzęzła,
Nie przetnie mieczem świętego węzła,
Ciało obali, lecz on nie ciałem
A duchem idzie, w blask przebiełałym.
Na twarzy Jana wielkie natchnienie
Poprzebijało jasne promienie.
Z pożółkłej smutkiem codziennym skóry,
Znać było światło lecące z góry,
Jak je tryumfem Pana rozczynia,
Jak prześwitywa ciało świątynia. —

Marya jak zawsze jedna ta sama
Tęcza przymierza, niebieska brama,
Czy to nad grobem, czy w domu cieśli,
Jakby anieli w niebo ją nieśli,

Siekąc skrzydłami lazur szeroki,
Patrzała w świtu białe obłoki.

A Magdalena, ta postać złota,
Długoż ma czekać chwały żywota?
Czy aż do czasu, kiedy na globie,
Czystą miłością zapłoną k'sobie,
W której nie będzie nic z ziemskich chuci,
Tak Pan namiętność ziemską z nich zrzuci,
Tak znamie grzechu Adama zetrze,
Że będą jako ranne powietrze,
W którym woń tylko i jasna zorza,
I słońce wielkie jakby twarz Boża.
A z grzechem startą będzie śmierć sama,
Śmierć, to następstwo grzechu Adama.
Jej droga krótsza pod stalaktyty,
Na mech wilgotny, — na skalne płyty,
Gdzie bujno rosła zieloność bluszcza
Księżyczny promień słabo przepuszcza.
Tam ona ujrzy pod krzyżem zgięta
Czarowną jasność swojego święta;
Tam na przedskalu w wonne zaranie,
Wiecznie pogodne jej słońce stanie.

Jęj ukochany zbliży się do niej—
 I do nóg wiennych przypaść nie wzbroni;
 Jak nie zabronił, kiedy schylona
 Płakała przy nich w domu Szymona.
 —Pojdź Magdaleno! I pójddże rąco,
 Jam gdzie się wszystkie cierpienia kończą.
 Słońcu zostawi ciało leżące,
 By nań patrzyło przez liście drżące
 I podziwiał o lica pokutne,
 Usta śmiejące, powieki smutne.
 Tak wyciągnięta pod krzyżem leży
 A strumień czasu u nóg jej bieży.

Pogodny ranek błękit obzorza
 Rybacy gwarzą na brzegu morza,
 Tu owdzie widać sieci moknące,
 Na skraju wody czerwone słońce
 Wstaje, i wielki świat rozwesela
 Na dwa lazury blaski rozdziela,—
 I rzuca promień pośrodkiem drogi,
 Ja wóz ognisty pod uczniów nogi
 Co idą w góry jak w niebo z ziemi,
 A ich uczynki ciągną za niemi,

Tworząc perłowe baszty budowy,
 Jeruzalemu ojczyzny nowój,
 W którą wiekami ziemia się garnie
 Przez nieskończone łąy i męczarnie.

POŻEGNANIE.

Przed progiem chaty pielgrzym wędrowny
Żegnał się smutny z dziećmi wiejskimi,
Unosząc w sercu żal niewymowny,
Że się na długo rozstawał z nimi.
Pastuszą lirę z korbeczką małą
Trzymał pod pachą i kij sękaty;
Swoją tułaczą chudobę całą,
Jaką z spalonej ocalił chaty.
Chciwie powietrze rodzinne chwytał,
Usta milczące drżały widocznie
I patrzył w niebo, jakby się pytał,
Kędy znużony znowu odpocznie?...
Powiędłe liście dębów omszonych,
Chłodny wiatr rzucał pod jego nogi;

Dużo tych liści szronem zwarzonych,
 Lecią, szumiąc pośrodkiem drogi.
 A pielgrzym smutny o takiej porze,
 Odchodzić musiał w daleką stronę,
 W świat niegościnny, za wielkie morze,
 Na obce, puste brzegi zamglone. —

— „Bywajcie zdrowe dziatki małeńkie,
 „Już ja wam więcej śpiewać nie będę,
 „Pod siwym dębem już nie usiedę
 „I nie pokręcę złotą lirenkę! —
 „Bywajcie zdrowe! — Niech was otacza
 „Zbawiciel świata swoją opieką,
 „Niechaj was cicha piosnka prostacza,
 „Piosnka miłości karmi jak mleko!
 „Piosnka, powiastka, którą wam plecie
 „Wiejska dziewczyna jedna za drugą
 „O jasnym niebie, o innym świecie,
 „O świętych ludziach, długo tak długo...
 „Aż wam się oczki do snu przymrużą,
 „A we śnie do was lecą aniołki,
 „Na łąkę ciepłą, gdzie kwiecia dużo,
 „Same lilijki, róże, fiołki;

„A wszystkie kwiatki do nóg się kłonia,
 „I aż się proszą żeby je zbierać,
 „I tak przedziwnie wzdychają wonią,
 „Jakby z miłości chciały umierać.
 „Dla was świat cały bez żadnej zmazy,
 „Jak woda w srebrnym, żywym potoku,
 „Czysty jak czysta źrenica w oku,
 „Lśniący, jak świętych złote obrazy,
 „A miłujący jak serce matki;
 „A sprawiedliwy jak ojca ręka,
 „Niewinny jak wy, małeńkie dziatki,
 „A miły sercu jakby piosenka. —

„O w takie światy niech was powieści
 „Dziwne, czarowne unoszą zawdy!
 „Lepiej wam jeszcze nie znać boleści,
 „Lepiej wam nie znać okrutnej prawdy..
 „Pokąd spokoju i niewinności
 „I świetnych marzeń o cudów kraju,
 „Pokąd nadziei, wiary, miłości,
 „Dopótąd szczęścia, dopótąd raj! —
 „Potém.. lecz co tam! Doznacie sami,
 „Lub nie doznacie przy łasce Boga,

„Ni długich godzin, co płyną łzami,

„Ani powietrza, głodu ni wroga. —

„Jam doznał wiele, lecz smutek skryję,

„Na nowe idąc biedy tułaczę;

„Mógłbym już nieżyć, a jednak żyję,

„Mógłbym zapłakać, jednak nie płaczę. —

„Bóg więcej cierpiał, a ja nikczemny

„Czemużbym nie miał wytrwać do końca?

„Jeśli dziś błędę wśród nocy ciemnej,

„Da Bóg za grobem ujrzę blask słońca.”

I z temi słowy pielgrzym ubogi

Odszedł, w dalekie, nieznane strony;

Jak liść lecący pośrodkiem drogi,

Chłodnym, jesiennym wichrem pędzony.

DUMKA.

Na dolinie na zielonej

Widzę w dali wioskę małą,

Domek płotem ogrodzony,

Na zakręcie brzozę białą;

Do gościńca droga długa,

Na niej lipy i topole;

Po za wzgórzem srebrna struga,

A za strugą szczere pole.

Nawet kwiatki także prawie,

Na pagórku, na przydrożu,

Dziki piołun w bujnej trawie,

I bławatki rosną w zbożu.

Gdyby jeszcze tam na boku
 Krzyż się chylił na rozstaju,
 A dąb siwy u potoku,
 To bym myślał: zem już w kraju.

Jaka cicha szczęśna chatka,
 Przy niej matka, dziewcząt dwoje;
 Czemuż to nie moja matka,
 Czemuż to nie siostry moje?.

WSPOMNIENIE DO L. H.

Tam w ojczyźnie znałem jedną,
 Wiesz Leonie, jedną z tych,
 Co rumienia się i bledną
 W jednej chwili płacz i śmiech.—

Jakie oczko! jaka buzia!
 Nie rusalka, wcale nie,
 Ona sobie była Józia,
 A matka ich miała dwie.

I mieszkali ot nie dalej,
 Bym nie skłamał jak z tąd tam,
 Droga szła wśród ciemnych alej,
 Ach jak ja tę drogę znam!....

Każdą kolej półtoraczną,
Każde drzewko z licznych drzew,
Gdzie jak ptaszki śpiewać zaczęły,...
To wiesz przecie jaki śpiew.

Jak mi serce biło silnie,
Jakem cały idąc drżał,
A zawsze mi było pilnie,
I zawszem coś mówić miał.

A jak przyszło do gadania,
Utnij szyję, ani rusz,
I coś od niej mnie odgania—
Już to pan odchodzi?—już.

I odchodzę od dziewczyny,
Niby smutny, niby zły,
Gdy ja cierpię z twój przyczyny,
Szkaradnico! cierp i ty.

Przystanęłem, żal mi mojej,
Może płacze? wróćmy się,
Patrząc w ogród, ona stoi,
I bez myśli kwiatki rwie.

Naskubała białych laków,
Idzie gdzieś jej z oczu znikł,
Już tak blisko, a ja z krzaków
Jak nieskoczę—a ta w krzyk.—

Więc przepraszam z wielką trwogą,
Że nie chciałem ale że...
—Że nie spotkasz pan nikogo?..
—Tak jest panno?—pewno nie?.

Unikając kłamstwa grzechu,
A wiedziałem że to grzech,
Wybąknęłem coś po cichu,
Jakieś głupstwo, a ta w śmiech.

Niegodziwa Józia pusta,
Widząc smutek moich lic,
Białą rączkę mi na usta
Położyła—i już nic.

Ani znaku śladu smutku,
Jakby ręką odjął wraz,
Chodzim sobie po ogródku,
Oto szczęście, to był czas.

Znasz następnych dni wypadki,
 Jednych losów bracia my,
 Dziś jak ona rzucam kwiatki,
 — Niby kwiatki, niby łzy. —

Tylko, że nikt na spotkanie
 Nie wybiega z cieniu drzew,
 I samotna łza ukanie,
 — Niesłuchany przebrzmi śpiew..

POKŁOSIE.

O! wy żniwarze, pocziwe ludziska
 I wy żniwiarki, co znosicie kopki,
 Zbierajcie zboże, układajcie snopki,
 A nam darujcie te resztki ze rżyska.
 Z kłosów opadłych mąka się wymiele,
 Mąkę zaczyni matka sfrasowona,
 A jakie szczęście! gdy jednego rana
 Pod płomyk dzieci zobaczą w popiele!

Jak się to zaraz cały świat upiększy,
 Jakie wesele do chaty zawita
 Z tych kilku kłosów zebranego żyta,
 Którymi wiele zbiór się nie powiększy.

My sobie pójdziem raniuchno po rosie,
Razem z skowronkiem, z wróblkami strzechy
I będziem prosić dla was o pociechy,
Za ludzkie serca, za szczęsne pokłósie;

A zobaczycie co wam Bóg da za to
Żeście ubogim nie skapili kłóska,
Jak nad dworami, i nad każdą chatą
Najszczodrzéj ręka otworzy się Boska;
I sypnie chlebem, — ale jakim chlebem!
Jeszcze piękniejszym jak prawdziwy pszenny,
I błysnie niebem, — ale jakim niebem,
Jeszcze piękniejszym, jak ten błękit dzienny.
Na uubożonym waszych pól obszarze,
Wedle możności, wszystkie wiejskie dzieci,
Zanuą pieśni z skowronkami w parze,
Ze wszystkim ptastwem co w powietrzu leci.

„Dzięki Ci, Boże, za każdy dzień biały,
„Za Opatrzności Twój łaski widoczne,
„Za polne zioła, za wody przezroczne,
„I za te kłóski, co się nam dostały.

„Daj, Panie Jezu! plenność polskiej roli,
„Nie żałuj deszczu i nie chowaj słońka;
„Prowadź sierotę niech się nie obłąka,
Obdarz pokojem ludzi dobrej woli.”

* * *

Pójdźcie sieroty! nikt się nie sprzeciwi,
W cichą pogodę zaczynamy zniwa
Opatrzna ręka co lilje okrywa
Z spichlerza swego wszystkich nas wyżywi;
Temu i temu rozdzieli pod miarą;
A krzywdy pewnie żadnemu nie zrobi;
Byle z miłością, byle z czystą wiarą,
To jeszcze światłem wybranych ozdobi.

Pójdźcie sieroty! ptastwo swoje zbiera
Tu kuropatwa, owdzie wronka płowa,
Na chwałę Bożą wszystko to się chowa
A z niedostatku przecie nie umiera.
Ptacy pieśniami za to Panu płacą,
Lilja wonnością za sukienkę białą,
A człek miłością i wiarą i pracą
I krwią i ciszą i bólem i chwałą;

Pocięte zyto pada na pokosy
 Niechże dar Boży próżno się nie marni,
 Śpiewajcie pieśni i zbierajcie kłosa
 Białe owieczki z Chrystusa owczarni.

SPOTKANIE.

W ciemność bezgwiazdną, w wieczystą głuszę,
 Idą ze świata dwie różne dusze.
 Jedna jak głównia, czarna, ponura
 Leci, by z wichrem gradowa chmura;
 Druga przejrzysta jak kropla duża,
 Ciemne powietrze sobą rozchmurza.

Kiedy się zbiegły dwie nieboszyczce
 Obiedwie sobie spojrzały w lice,
 —To ty Barbaro?— To ty Maryo!—
 I wszecz swe długie szaty rozwijają;
 —Jaka ty ciemna... powiedz siostrzyczko
 Coć poczerńiło różane liczko,

Tyś była taka blada jak ściana
 A czasem jakby róża różana. . . .
 Czy ty się w jakim kąpała ziele?—
 Dziewczęta czasem myją się w chmielu,
 Inne w leszczynie, na której jeszcze
 W zawiązku biały orzech szeleszcze?
 —Ej nie to, nie to, od liści, ziela,
 Człek się nie czerni, ani wybiela.
 Ja nie raz matce hardo odrzekła,
 Że aż niebodze i łąza pociekła,
 I tak krótkiemć powiem słowami
 Cała ludzkiemi zmyłam się łzami;
 A łzy co w oczach perłami lśniły,
 Taką mnie strasznie czarną zrobiły.—
 Lecz ty mi powiedz, siostró bez grzechu,
 Na jakim ty się bieliła blichu?
 Pamiętam ciebie, kopciuszek iście!
 A teraz cała świecisz srebrzyście.—
 Wszak ty służyłaś za popychadło,
 Nieraz na ciebie i błoto spadło,
 A kto przechodzi to popchnie, kopnie—
 Co prawda, brzydka byłaś okropnie.—

I w jakim ty się zdroju kąpała
 Żeś wyjaśniała i wybielała?
 Czy w tym jeziorze gdzie u pobrzeża
 Łabędź swe puchy srebrzy, wysnierzła?
 Czy w ciemnym lesie, kędy z pod drzewa
 Zdrój się tajemny cicho wylewa,
 Którego wody bogińki strzegą,
 Powiedz mi, jasna duszo! od czego?..
 A ona rzecze głosem jak dzwonka
 Albo klasztornej pieśni z przedsionka:
 Jam się nie myła w gładkiem jeziorze,
 Które ptak srebrny piersiami orze;
 Ni w źródle, które z pod drzewa leci
 Z pod mchowych kiści, porostów sieci,
 I niezabudek odwilża oczy
 Swierki okropła, sasanki moczy.
 Otoć krótkiemć powiem słowami....
 Jam się własnemi obmyła łzami—
 To rzekłszy w szatę zwinie się białą
 I leci w stronę gdzie rozedniało.—

Tys była taka blade jak śniega
 A czasem jakby rozjaśniała
 Czy ty się w jakim kącie ukryłaś
 Czy w tym jeziorze gdzie u podnóża
 Łabędź swe puchy srebrzy wyszperała
 Czy w ciemnym lesie, kiedy z pod drzewa
 Zdrój się tajemny cicho wyłyna
 Którego wody pocinają stręga
 Powiedź mi, jasna duszo, od czegoś
 A ona trzecie głosem jak dzwonnika
 Albo klasztornej pieśni z przedświata
 Tam się nie myła w głąbi jeziora
 Które płak srebrzy, nieśmiertelny, ożył
 Taka maie, które z pod drzewa leci
 Z pod mchowych, liści, porostów sieni
 Na jakim ty się białym oku
 Pamiętam cię, mój, w mroku
 A teraz cała słowami
 Wszak ty słyszysz, jak się w lasie
 Niezły w lasie, gdzie się białe
 I lec w lasie, gdzie się białe
 Co prawda, brzydko —

Rozpuszciliem rzeki po szerokim ziemiu,
 I małe strumyki miedzią srebrniemi,
 I coś więcej chcę — powiadacie mi za to:
 Dobrze ty lateńko, Bóg ci zapłać lato. —
 Przechwalaś się samemu, bo nikt cię nie chwali!

L A T O .

Coś ojców im wzięło i matki jedynę, an śmiały sz
 Krzyżami, wzgórkami pokryło dolinę, wy
 Pokryło dolinę, na którą zaleciał goł ogół sz
 Pogodne słoneczko na zachód się zniża,
 Liście z drzewa lecą, jesień się przybliża;
 W wieńcu przeplatany jabłkami, gruszkami,
 Już lateńko lato staje przed wrotami.

Cóż odemnie chćcie, alboż to wam mało?
 Przyniosłem wam zboże, co w polu bujało;
 Przyniosłem maliny i słodkie jagody
 Makiem, stokrociami barwiło ogrody.
 W łąkach wychuchałem gwoździki, ostróżki,
 Chodowałem zięby i kukułki wróżki.
 Owiewałem w pracy leciuchnym powiewem,
 Usypiałem ptasząt rozkochanych śpiewem,

Rozpuściłom rzeki po szerokiej ziemi,
I małe strumyki niciami srebrnemi.
I cóż więcej chcecie—powiedzcież mi za to:
Dobreś ty lateńko, Bóg ci zapłać lato. —

Przechwalasz się samo, bo nikt cię nie chwali,
Ni wdowy ubogie, ni żaczekowi mali,
Coś ojców im wzięło i matki jedyne,
Krzyżami, wzgórkami, pokryło dolinę.
Pokryło dolinę, na którą zdaleka
Otwiera się smętna, sieroca powieka.
I gdyby nie Pani w gwiazdzistej koronie,
Co każdą sierotkę piastuje na łonie,
I pieśnią anielską sen słodki nawodzi,
Łzy zwiewa kropliste i lica pogodzi,
W niebiesiech pamięta o najlichszym prochu,
To piersiby ludziom pękały od szłochu. —

Hej! lato, lateńko, tyś w cichą dąbrowę
Przyniosło okrutne powietrze morowe;
Tyś zboża na polu spaliło do szczytu,
Że tylko się słoma została ze sprzętu. —

Za nędzę okrótną i któż cię pochwali...
Mogilki zostawiasz i odchodzisz dalej,
I pustki zostawiasz i bladą tęsknotę,
I drżącą u bramy cmentarza sierotę,
I trawą zarosłe wiejskiej chaty progi,
I gruzy zgorzałych miasteczek i wrogi. —

Żal mi was kochani, lecz mojaż to sprawa,
Że ziemię nawiedza niedola ta krwawa;
Czyliż wy nie wiecie, jak wszystko się staje,
Że kogo Bóg kocha, krzyżyki mu daje,
I patrzy na niego czy umie je znosić?
A potem już tylko potrzeba go prosić,
A wszystko w trójnasób nagrodzi mu hojnie,
W oborze, w chałupie, na roli i w wojnie. —

Za smutek latosi ujrzenie z powrotem,
Jak zbożem na polach nagrodzę wam złotem;
Owieczki spokojne rozsypię po niwie,
Ogrody wiosennym deszczykiem ożywię;
Naznoszę wam dzieci, a samych chłopaków,
A samych Mazurów, samych Krakowiaków. —
Dzień każdy łagodną oświecę pogodą,
I chaty i dwory rozjaśnię swobodą.

—Już lepiej nie gadaj, rób tylko nieboże,
 A ja ci na rozścież chałupę otworzę;
 A tylko pamiętaj dzieweńko kochana,
 Jak będziesz na wiosnę wysyłać bociana,
 To niechaj Mazurom co siedzą w tym lesie,
 Najpierw na skrzydłach pociechę przyniesie.—

ZA ANIOŁEM.

Aniele! pójde za toba,
 Matkę i ojca zostawię,
 I brata, z którym się bawię,
 Nic a nic nie wezmę z sobą.—
 Zostawię ogródek, drzewa,
 I naszą cichą izdebkę,
 Moją plecioną kolebkę,
 Przy której matka mi śpiewa.
 Siostrę w pieluszkach malutką,
 Co jeszcze mówić nie może,—
 Kij z dziadkiem z kościanną bródką,
 Na którym jeżdżę po dworze;—

Zostawie nawet sukienkę,
I tak w koszulce, jak stoję
Mój srebrny—podam ci rękę,
I pójdziem sobie we dwoje.—

Jak nam gdzie zbójcy zaskoczą,
Lub ciemna gradowa chmura,
Twoje mnie skrzydła otoczą,
I ja się skryję pod pióra,—
Jeśli mi nóżki zemdleją,
Albo zmęczony zadrzemie,
Ty mnie nieść będziesz koleja,
I znowu spuszczać na ziemię.—
Jak będzie świtania blisko,
Zanucim pieśni w niebiosy,
Pod wieczór pójdziem na rżysko,
Po złote pszeniczne kłosa.—
A jak noc ziemię okryje
I gwiazdki zaświecą jasne,
Ja cię obejmę za szyję,
Główkę pochyłę i zasnę.—

L Z Y.

Gdzie ta chatka mchem obrosła,
Co mnie wychowała,
Gdzie jabłonka ta wyniosła,
Co w ogrodzie stała?

Gdzie to źródło żywej wody
Z pod ziemi bijące?
Gdzie te myśli dziewczki młodej
Jak kwiatki na łące?

Chata w gruzy obalona,
Źródła bić przestały;
Jabłoń w pruchno zamieniona,
Jedne łąy zostały.—

Zostawie mój kieliszek,
I tak w komnie, jak stoje
Mój arcybrat — podam ci rękę,
I podziem sobie w dwoje.

Jak nam gdzieś stojąz młokoza,

Łub ciek —

Twoje nie życzę ci,

—

Gdzieś to chłani wiesz ośrodek

Albo co mnie wypowiesz, wiesz ośrodek

Ty mnie nie wypowiesz, wiesz ośrodek

Co w ośrodku stoisz, wiesz ośrodek

Jak będzie ci wiesz ośrodek

Gdzieś to kłóć się wiesz ośrodek

Zacznij wiesz ośrodek

Pod wiesz ośrodek

Gdzieś to młodzi wiesz ośrodek

Po złocie wiesz ośrodek

Jak kłóć się wiesz ośrodek

Albo co mnie wypowiesz, wiesz ośrodek

Ty mnie nie wypowiesz, wiesz ośrodek

KAPRYŚNA.

Boże mój Boże! co mnie się stało?
Wciąż takam smutna, taka nie swoja,
Jakby co złego mnie spotkać miało,
Spokoju nie ma duszyczka moja.
Myślałam że mi powiedły róże....
Wyrzę na ogród, kwitną przeczudnie,
Myślałam rano że przyjdą burze,
Tymczasem cicho przeszło południe.
Siadam do grania, co wezmę w rękę,
To wszystko mi się zdaje nie ładne,
Wezmę mazurka, wezmę piosenkę,
Przewracam, szukam, żadne, a żadne.
Gdyby to można... ej! co ja roję,
Gdyby to można... jak ja dziecinna...

Gdyby to można... ach! aż się boję
 Myślę rzecz taką com nie powinna....
 Gdyby to słońce nie tak świeciło,
 Ale to błyszczy że aż mnie mroczy,
 A nie wiem komu dobrzeby było
 Gdyby mu padał blask w same oczy.
 Co tobie duszko?... ja nie wiem sama
 Suche mam oczy, a serce płacze,
 Ja nieszczęśliwa, zobaczy mama
 Że ja miłego nic nie zobaczę;
 Nikt mnie nie kocha, każdy mnie drażni
 Gdzie się obróćę, ja sama jedna....
 Na świecie teraz nie ma przyjacieli...
 —Aj prawda, prawda, jaka ty biedna...
 Kochanka moja ciągle narzeka,
 A ja ci powiem czego ci trzeba,
 Szybki z okienka, ptasiego mleka
 I czego jeszcze? gwiazdeczki z nieba.

J A S K Ó Ł E C K A.

Cudo nasze, dziewczę nasze
 Wybiegło za sioło;
 Jaskółeczka drobne ptasze
 Lata przy niej w koło.

A tak czasem szybko bieży
 Ptasze uprzykrzone,
 Że o ledwie nie uderzy
 W jej włosy kręcone.

—Daj mi pokój,—moja miła
 Nie mogę, nie mogę,
 Twój braciszek mnie wysyła
 Do ciebie na drogę.—

Co dzień on z za rdzawej kraty
 Śpiewa piosnkę swoją,
 Jaskółeczko leć do chaty,
 Zobacz siostrę moją.

Czy jej modre oczy duże
 Cicha łza nie rosi?
 I czy jeszcze białą różę
 W jasnych włosach nosi?...

MAZUR ZA WOŁAMI.

Ptasze śpiewa, bo ptasze,
 Bo ma w lesie swobodę;
 Dziewcze śpiewa bo nasze
 Bo wesołe i młode,
 Bo ma liczko jak róża,
 I nie mała, nie duża.

I ja sobie zanuce,
 I ja czasem wesoły;
 Jenó woły zawrócę,
 Wołyż moje! hej woły!
 Albo ja to sierota,
 Albo jaki niecnota.

Mam ja rolę i chatę,
 I poszyte stodółki,
 I bydełko rogate,
 I dwa konie i pszczołki!
 I kobietę Jagusię,
 I dzieciątko malusie.

Pan Bóg łaskaw na człeka,
 Grady biją z daleka;
 U mnie zboże się kłosi,
 Deszczyk przyjdzie, porosi,
 Albo lunie jak z cewki
 Na ogrody, przysiewki.

Jak to woły się cieszą,
 Kiedy jarzma nie czują,
 A rogami się czeszą
 A patrzą się a zują.
 Idzie słońko po niebie,
 A no! woły od siebie.

Jakoś ciężko pług chodzi,
 Ale ziemia obrodzi.

Dla kaleki, żebraka
 Daje ziemia nieboga,
 Dla sieroty, dla ptaka,
 Przyjaciela i wroga.
 Byle posiać na dobre,
 Ano! siwy, a k'sobie.

Danaż moja! oj dana!
 Ludzie idą do siana,
 Brzęku, brzęku, po stali
 A dalejże, a dalej!

Mają zboża Kujawy,
 Mają łąki na paszę;
 Ale gdzie im bór ćmawy
 Takie lasy jak nasze?

Oj! Bachorza, Bachorza,
 Same błota i trzciny,
 I jeziora jak morza,
 I doliny, doliny.
 Gdzie się człowiek obróci
 Wszędzie serce zasmuci.

A to u nas inaczej,
Szumią gaje w równinie,
Ani świata zobaczy,
Jak stryj brodę rozwinie,
Jedno w górze u szczytu,
Jasny kawał błękitu. —

Raniusieńko, jak zorze,
Słychać ptaków śpiewania,
Skowroneczek już orze,
A przepiórka pogania;
Wiatr po liściach szeleści,
Coraz widniej, niebiesziej.

Każde przy swój robocie,
Bocian chodzi po błocie,
Słowik śpiewa a śpiewa,
Żółna lasy rozsiewa;
Przyśpiewują na głosy,
To wywilgi, to kosy.

Na zachodzie pogoda,
W jasnym niebie wesele,
Dał Bóg ludziom oj wiele,

Może jeszcze co doda,
Może zboża dorzuci,
Może dobre powróci.

Twardo panu kmieć służy,
I biedysmy zażyli,
Może życia przydłuży,
Może nieba przychyli,
I od grzechów rozgrzeszy
I na dzieciach pocieszy.
Słonko schodzi po niebie,
A no! woły, od siebie.

Już z południa daleko,
Ludzie z miasta się wleką,
Idzie baba śród drogi,
Wiedzie krówkę za rogi.

Chłopak pędzi a krzyka,
Że aż kładą się szkapki;
Grajek wziął się do smyka,
Spuścił nogi przez drabki:
Dylu dylu od ucha.
Kto ma uszy niech słucha.

Środkiem włódarz się toczy,
Nawdziął czapkę na oczy,
Zajrzał w dzbanek, nie dużo,
A nogi nogi mu nie służą.

Szumia lasy, hej lasy,
A w karczemce grzmia basy.
Kiedy skakać to skaczą,
A kiedy pić to piją,
A jak płakać to płaczą,
A jak bić się, to biją.
To już u nas tak idzie,
Na połówkę nic nie ma;
A pocierpieć jak przyjdzie,
To i to się wytrzyma.....

Ot i dzwoni już dzwonek
Na wieśniaczym kościele,
Dzięki Bogu za dzionek,
Za serdeczne wesele,
I za wszystko co miłe,
I za wszystko co boli;

W ciężkiej pracy za siłę,
I za uśmiech w niedoli.

Już i zorza przygasa,
A no! woły, do lasa,
Na podwórko przed chatę,
Pod te sosny garbate.

Po szerokim polu modra Wisła płynie,
Pochylone chity drzewia na dnie,
Nad wodą zgarbiony stary dąb złyty,
Kędy biała płótna wesołe niewiasty
Po łacie stają łodzi powolne,
W ąskach jednokujnie brzęczą swierszcze polne,
A z borów cienistych branej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
Po niebie dółki jak bielone runo,
Słoneczkiem przecięte pod błękitem szaro,
Na wodzie, na Wiśle, wśród ciszy poranka,
Pływa łódź lilowa jak szara cyganka,
A za nią ładowe przenosi galary,
Szum wiośni na falach i śmiechy i gwary.

W ciężkiej pracy za sile
I za śmiech w niedoli.
Nawet na karkach
Już i zorną przysięgą, i z
A noliwoły, do lasu, i
Na podwórko przed chatę,
Pod te sosny garbate.

A w karczmie
Kiedy skaka to skacza,
A kiedy pije to pije,
A jak płaka to płacza,
A jak biega to biega,
To już nias tak idzie,
Na połowę nie nie ma;
A pocierpieć jak przysięga,
To i to się wytrzyma.....

On i dzwoni już dzwonek
Na wieśniaczym kościele,
Dzięki Bogu za dzieńek,
Za serdeczne wesele,
I za wszystko co miłe,
I za wszystko co boli;

UŁĘBOWANIE OT KAZ
Po wódzie stępną, p
Wiatry niosą, p
Słoneczko białe, p

Po szerokim polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie,
Nad wodą zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy białą płótna wesołe niewiasty;
Po łące stąpają bociany powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą swierszcze polne,
A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
Po niebie obłoki jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekłe pod błękitem suna,
Na wodzie, na Wiśle, wśród ciszy poranka,
Płynie Łódź flisowska jak szara cyganka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wiosła na falach i śmiechy i gwary,

Po boru jagody dziewczę rwie na wrzosie,
 I śpiewa miłemu: pędź głosie po rosie—
 Po długiej dolinie tęskne tony cieką,
 I słysząc piosenkę daleko, daleko....
 I gdzie się obrócisz nad Wisłą, nad Bugiem,
 Brzmi nuta serdeczna za byłem za pługiem,
 Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju,
 Jakby jedna dusza była w małym kraju.
 Oj! śliczna to ziemia to nasze Mazowsze!
 I czystsza tam woda, i powietrze zdrowsze—
 I sosny rośniejsze, i dziewczki krasniejsze,
 I ludzie mocniejsi, i niebo jaśniejsze.
 Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
 Gdzie mi się rozśmiej tak rażna dziewczucha,
 Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
 Taki bór szumiący, taką łąkę cichą?
 Kędy ja usłyszę tyle ptactwa wrzasku?
 Zkąd wam modrej Wisły i białego piasku?
 Serce moje, serce do tych lasów goni,
 Do Wisły, do Wisły,—oj tęskno mi do niej!....
 Szczęśliwe kuliki, szczęśliwe rybitwy,
 Co nad nią powietrzne zawodzą gonitwy,

Oj! Mazur ja Mazur, pomiędzy obcemi
 Zmarnuję ja młodość na nie swojej ziemi.
 Kiedym szedł do ludzi cały dzień padało,
 Pod wieczór się za mną słońce obejrzało—
 Oj poczerwienione, jak oczy matczyne
 Co mnie błogosławiąc patrzyła w dolinę;
 Wiatr szumił po polu, a pszeniczne kłosa,
 Strząsały na ścieszkę krople jasnej rosy.
 Po boru, po lesie, przez gęstwinę ciemną,
 Na gałęziach wrony krakały nademną;
 Sierocemu sercu tak się wydawało
 Jakby coś w powietrzu po lesie płakało.
 Spojrzałem przed siebie, nikogo nie było,
 Kilka ciemnych sosen w ziemię się chyliło,
 Daremno po drodze patrzałem za siebie,
 Jedna tylko gwiazdka mrugała na niebie,
 I ta utonęła w ciemnej, mrocznej fali,
 Nie było nikogo—i poszedłem dalej.....
 I dalej i dalej w świat szeroki długi—
 Bywajcie mi zdrowe mazowieckie smugi!
 Skrzypki, moje skrzypki, do serca zagrajcie,
 A wy też Mazury chętnie posłuchajcie.

Dziś tułam się oto, i tęskliwie żyje—
 Westchnieniem się żywię i leż się napiję.
 I tak schodzi zima i za zimą lato—
 Boże dopuszczenie—chwała mu i za to!
 Zagrajcie skrzypeczki, niechaj wdzięczne granie,
 Cichy wiatr zanieśe gdzie moje kochanie.
 I życie i piosnka dobrze się opłaci,
 Jeżeli trzy perły weźmie z serca braci.
 — Witajże mi, witaj, kraino kochana,
 W boleści, w tęskności—oj dana! oj dana!

CHŁOPAK.

Śnieżyca zawiewa,
 W dali szumią drzewa,
 Nad białe zagony
 Podlatują wrony.
 Gdzie wierzby, gdzie chata,
 Drzwi stare skrzypnęły,
 I chłopak wyłata.
 Rozpięta koszula,
 Po piersiach wiatr hula;
 Twarz zdrowa choć dymna
 Znać chłopskie to dziecię:
 Nie dmucha on w lecie,
 Nie chucha od zimna.

A oczy jak ciarki,
 A ręce jak raki,
 Na złych ludzi karki,
 Wylęgl się on taki.
 I czegoż, i za czém
 Śle okiem prestaczem,
 I kędyż wejrzenie wciąż ciska?
 Tam dalej; za krzyżem,
 Nad starym żołnierzem
 Ostrzony się bagniet połyska
 Tam dalej muzyka
 Marsz dzielny wygrywa,
 Aż duszę porywa.
 Aż serce przenika
 I przeszli, zniknęli
 Śnieg gęsty popruszył,
 Choć przeszli, minęli,
 Chłopak się nieruszył.
 Na czole mu siadła
 Chęć bujki zawzięta,
 Po twarzy mu spadła
 Kropla przeziębnieta.

Czy mróz ją wygonił
 Wędrować po świecie?
 Czy zbiedy łzy ronił?
 Wy może zgadniecie.....
 Jak zając spłoszony
 W lesiste mknie strony,
 Tak chyżo przez wzgórek
 Poleciał Mazurek;
 Poleciał do chatki
 Wychwalać wojaki
 I prosić się matki,
 O karabin taki.

DZIEWCZYNA.

Nie pytaj czemu chodzę do kościoła
Bo mnie z kościoła biały anioł woła,
Ten co w ołtarzu stoi z srebrną rybą
Wskazując słońce spadające szybą,
I Matka Boska, która przy okienku
Stoi z maluchnym Jezusem na ręku.
To jak tam przyjdę, jak padnę u proga
Jak zacznę szczerze prosić, błagać Boga—
A Bogu miła ludzkiej duszy skrucha,
To mnie też zawsze, gdy proszę, wysłucha.
—O moje dziewczę! padnijże ze łzami,
I Matki Boskiej, ty błagaj za nami!

DZIEWCZYNA.

I Matko Boskiej, ty błagaj za nami,
— O moje dziewczę! padnijże ze łzami,
To maie też zawezę, gdy proszę, wysłucha.
A Bogu miła ludzkiej duszy skrupa,
Jak raczne szczerze prosić, błagać Boga—
To jak tam przysięgę, jak bąbać u progu
Stoi z maluchym Jezusem na ręku.
I Matka Boska, która przy okienku
Wskazując słońce spadające szczyty,
Ten co w ołtarzu stoi z niebłąd rąbą,
Bo maie z kościoła biały anioł woła,
Nie byłej czemu chodzę do kościoła

H U Ł A N .

Rzy koniczek mój bułany
Puśćcie—czas już czas,
Matko, ojcie mój kochany!
Żegnam, żegnam was,
Zdala słyszę trąb hałasy
Dobosz w bęben grzmi,
Rzucam, rzucam słodkie wczasy
Błogosławcie mi!
Hej luzaku konia podaj,
No nie płaczcie już,
Raczej matko mężstwa dodaj
Krzyżyk na mnie włóż.

Cóżby życie warto było
 Gdybym gnuśnie zgasł?
 Dosyć, dosyć się marzyło,
 Teraz nie ten czas.
 Słyszeliście grzmia armaty
 Rozpoczął się bój,
 Żegnaj łąko, drzewa, chaty,
 Dalej koniu mój!—

Nasza Dziewczyna.

Nasza Dziewczyna

Kieby malina,
 Usta różane
 Z lilją mieszane,
 Włosy złociste,
 Oczy ogniste,
 W tańcu sarenka;
 Nasza panienka
 Szczera w ochocie,
 Pilna w robocie;
 Czy zagon piele
 Czy zbiera ziele,

Czy z kołowrota
 Złotą nić mota,
 Zawdy ma w głowie
 Tyle piosneczek,
 Ile kwiateczek
 Kwitnie w dąbrowie;
 W zielone świątki,
 Lipowe prątki,
 Wierzby gałązki
 Nazbiera w wiązki;
 Chatę umai
 W zieloność gai,
 W okienku chaty
 Ustawia kwiaty;
 Tatarakami
 Uściele sionkę,
 Przed obrazami
 Wiesza koronkę,
 I białe chusty
 Na siebie wdzieje
 Wdzięcznemi usty
 Wszystkim się śmieje,

U niej ze dzbana
 Woda źródłana,
 I chleb ubogiem,
 I cień przed progiem;
 Jak ludzie prości
 Mile ugości;
 Gdy w sianokosy
 Słyszysz piosneczki,
 To pewnie głosy
 Naszej dziewczki.
 Fura się toczy
 I skrzypią koła,
 A przy niej kroczy
 Dziewka wesola.
 Nasza dziewczyna
 Kieby malina,
 Tego wybierze
 Młoda osoba,
 Który się szczerze
 Onęj spodoba,
 Najbardziej dziewczce
 W serduszko wnika,

Kto w rogatywce
 Dosiadł konika,
 I umie gracko
 Wywijać chwacko,
 Szabelką machać,
 Nic się nie strachać,
 W boju bojować,
 W chacie całować.

Mazur.

Mazur ci ja, mazur,
 Z pod Warszawy rodzic,
 Nie żaden pan baran,
 Ani wojewodzie.
 Najpsód mnie ucono
 Grabić w łące siano
 Na stodole młócić
 Czterma końmi włócić;
 A kić mie już byli
 Wyhejdukowali,
 To mnie ozenili
 Za zone wydali.

, jako siano
 Cielok, jako cielok,
 Ale z miłą zoną
 Cłowiek smutny wselok.
 Bodaj to parobkiem
 Chodzić sobie sobkiem,
 Copka z fantazyją,
 Sukman granatowy,
 A w tanecku biją
 Iskrami podkowy,
 Stalowy obcasik,
 I czerwony pasik;
 Juścić mieli racya
 Dawać hedukacyą;
 Lec ze zonke dali,
 To się pomyłali;
 Cłek by miał ochoty
 Podobać się komu;
 A tu ksycy z hoty
 A pójdzies do domu!
 Bóg się nie zmiłuje
 Toć mnie gnębia wsyscy,

Zona mnie pomstuje,
 Dziecko w łózku piscey,
 A dymem z komina
 Dymi chałupina.
 Niech je tam wciornoscy,
 W tym ostatnim dzionku,
 Zostane ja w wiosce
 Chyba na postronku.
 Jak jeno zaświta,
 Z moją zonką kwita,
 Zostawiam stodoły,
 Dwa konie, dwa woły,
 I pscół ctery pienki,
 W sksynce dwa dukaty:
 Ma nowe sukienki
 I cycowe smaty;
 Nie pierwszej młodości
 Nie będzie w załości.
 Pojdę do starszego
 Zamelduje mu się,
 Powiem zem z Dębego
 Ze mieskałam w lesie,

Mam z sobą fuzye
 Co niezgorzej bije,
 Lepiej w wojsku strzelcem,
 Niż w chacie wisielcem;
 Bo psysięgam Bogu,
 Jakem Maciek Dzwoniec,
 Zeby mi w chałupie
 Psysło na ten koniec.

DZWONY.

Bierzcie chłopcy za sznury,
 Niech dzwony huczą z gór,
 Bijcie sercem w boki,
 Na wieży wysokości;
 I te czarne chmurzyska,
 Co w nich świszczą i błyska,
 Rozpędźcie, rozgońcie!
 Dzwoncie chłopcy, dzwonicie!
 Rola w zboże obfita,
 Ma być gradem pobita;
 Całą pracą Mazura;
 Dalej chłopcy ob sznura!
 Alboż wam to nowina?

Wszak ojciec uczy syna,
 Że nie można z chmurami
 Jedno walić dzwonami,
 Albo z harmaty palić,
 Albo we dzwony walić,
 Gdyby grady pobiły,
 A pioruny spaliły,
 Cóżby nam zostało?
 Wszystko by zgorzało,
 Zgorzałyby i one,
 Nasze lipy zielone,
 Jenoby z doliny
 Sterczały kominy,
 Więcże do pracy
 Żwawo chłopacy.
 Miejwa nadzieję,
 W te dobrodzieje,
 Co żelazne serca mają,
 Czarne chmury rozpędzają,
 Co na wesele
 Dzwonią w kościele,
 Co zmarłym śpiewają

Kiedy w grób chowają,
 Co je ucho niesie
 Po wodzie, po lesie, —
 Po gorze, po dole,
 Przez ojcowskie pole.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Kiedy w grob chowają,
 Wszakże nie chcą
 Ze nie ma
 Jedną wale
 Po gorze, po dolce
 Albo przez oświeślenie
 Albo w walce
 Gdyby grady połyły,
 A pioruny spały,
 Cóżby z nich zostało
 Wszystko by zgorzało,
 Zgorzałyby i one,
 Nasze lipy zielone,
 Jenoby z doliny
 Sterczały konie,
 Wlecząc do pracy
 Zwęwo chłopacy,
 Miegwa nadzieje,
 W te dohrodzaje,
 Co żelazne serca mają,
 Czarne okazy rozstrzelały,
 Co na weselu
 Dawały w kościele,
 Co zmarłym śpiewają

WIERSZ DO POETYZI

Kochanka duszo, cieleśno stęcho,
 Z mieczem i w szbroć bartową!
 Nikt się nie oprze, gdy ty walujesz,
 Nikt się nie opiera, gdy ty walujesz,
 Twojej piękności czarował!

CZEŚĆ II.

Gdy miecz utażesz, gdy hełm przywdziałasz,
 Białoramienna dziewico!
 Gdy na wiatr sztandar śnieżny rozwieszysz,
 Zapal szablony w serca czorniejusz,
 Rycerze bronie pobierasz,
 Długość tarczy, miedzi ostrze,
 Wstrząsną w tylnych przelotach,
 Z krzyżem rozpaczy ręką nie wstrząsną,
 Gdzie nie skłanisz grody miedziowej.

WIERSZ DO POEZJI.

Kochanko ducha, dziewico słońca,
Z mieczem i w zbroi hartownej!

Nikt się nie oprze, gdyś jest walcząca,
Nikt się nie oprze, dziewico słońca,
Twojej piękności czarownej!

Gdy miecz ukazesz, gdy hełm przywdziejesz,
Białoramienna dziewico!

Gdy na wiatr sztandar śnieżny rozwiejesz,
Zapał szalony w serca rozsiejesz,
Rycerze bronie pochwyć.

Uchwycą tarcze, miecze ostrzone
Wstrząsną w żylastych prawicach;
Z krzykiem rozpaczę rzucą się w stronę,
Gdzie im ukazesz grody zniszczone,—

Na który widok, zapłomienione
Piekło wystąpi na licach.

A gdy bohater padnie w obronie,
Ty znijdziesz, w szacie anioła
I wieniec chwały włożysz na skronie, —
Zwycięztwo będziesz śpiewać przy zgonie
I śmierć mu przejdzie wesoła.

Ty zimne duchy ogniem zapalasz,
W wary przemieniasz chłód lodów;
Ty jedna cudem ludy obalasz,
Niezwyciężone tłumy ocalasz,
Poezjo, matko narodów!

Ty męczennikom, pod ręką kata
Rozpiętym w bólach śmiertelnych,
Stawiasz obrazy lepszego świata,
Gdzie myśl ostatnia z krzyża ulata
Do boskich krain weselnych!

Ty im, czarowna dziewico słońca,
Nim śmierci doświadczą chłódów,

Za życie męczarń, światłość bez końca
Ukażesz zdala w promieniach słońca,
Poezjo! wiaro narodów!

Na czarodziejskie twoje skinienie
Stanie się niebo na ziemi,
Dzikięj niezgody zgasną płomienie;
Na twój czarownej palmy skinienie
Ludzie się staną świętymi.

Na kogo twoje wejrzenie padnie,
Ten ziemi świeci na wieki;
W imieniu twojem serca owładnie,
Ludziom ich przyszłe losy odgadnie,
A czas je spełni daleki.

Ty będziesz wiązać dłonie szermierzy
W czas ślubnych świata obchodów;
W ołtarzach stawisz duchy rycerzy.
Przez ciebie ludzkość w siebie uwierzy,
Poezjo! — prawdę narodów!

KINDŻAL

Z ROSSYJSKIEGO, Z LERMONTOWA.

My nierozłączym się kindżale mój,
Mój przyjacielu świecący a chłodny,
Ponury Gruzin kował cię na bój,
Ostrzył na wolny bój Czerkies swobodny.

Podany ręką pieszczoną, liljową,
Na znak pamięci w dzień rozstania, mnie,
Raz pierwszy nie krwią, lecz łzą brylantową
Cichą łzą żalu, tyś ubroczył się.

Jój czarnych oczu ogień palający,
Trwogi i smutku wzrok jój we mnie tkwił;

Jak stał w płomieniu — ciemny, to jaśniały,
To mgłą zachodził, to się ogniem skrzył.

Dany na zakład serca drogocenny,
Ty mi bądź wzorem w trudnych życia dniach,
Jak twa stał zimny, jak twa stał niezmienny,
Żelazny bracie! nie ujrysz mnie w łzach.

7

7

Jak stał w płomieniu — czeru — to jasnicy,
To mgły zachodził, to się ogniem skręcił.

Dany na zakład serca drogozenny,
Ty mi bądź wzorem w trudnych życia dniach,
Jak twa stał zimny, jak twa stał niezmieniony,
Nieładny bracie, nieładny mój w łach.

GOŁABEK.

Gdy ranek wiosnowy,
Pogodny, majowy,
Gaj kwiatów po łąkach rozwija;
Rój ptastwa skrzydlaty,
Barw tęczą bogaty,
Z piosenką do góry się wzbija.

To pliszka, jaskółka,
Skowronek, kukułka,
Wybiegłszy z pod liści zakrycia,
Świergotem, kukaniem,
Witają zaraniem,
Wschód słońca i ciepło znak życia.

I gołąb' zbudzony,
Z pod skrzydeł osłony,
Z swą główką z srebrzystą koronką;
Spojrzy w wód przezrocze,
Skrzydłami strzepocze,
I dalej! pofruwać nad łąką.

I całym już stadem,
Wybiegły nad sadem,
Krażyły, krażyły i spadły;
Gdzie rośnie mech szary,
Na dębów konary,
Co odwieczne nad stawem osiadły.

Z konaru, w konary,
Gdzie rośnie mech szary,
Gruchając biegają gołębie;
A dzióbki różowe,
A skrzydła śniegowe
Zdaleka, by kwiaty na dębie.

I znowu do góry,
W obłoki, w lazury,

By chmurki bieluchne się wzbijają;
 A słońce na loty,
 Domięsza blask złoty,
 Aż śnieżne się złotem okryją.

Widziałem anioła,
 A radość mu z czoła,
 Z ust, z oczu kamiennych patrzyła;
 Bo biała, srebrzysta,
 Niewinna, przeczysta
 Gołąbka mu w rękach świeciła.

To symbol świętości,
 Stróż anioł młodości,
 Ten biały gołąbek *niewinność*;
 Te śmiechy dziecięce,
 I gołąb' na ręce,
 Jedno noszą imię: *dziecinność*.

Niewinność wesola,
 Pogoda, blask czoła,
 Są dziewic mój ziemi ozdoba;
 Więc kędy chcesz zajdziesz,

To w każdej wsi znajdziesz,
 W swój drodze gołąbnik przed sobą.

On jeden przez morze,
 Gołąb' lecieć może.
 Bez żadnych spoczynków, wytchnienia;
 On jeden znieść zdolny,
 Bo żółci jest wolny,
 Przygody i różne cierpienia.

W gołębięj postaci,
 Duch znijdzie na braci,
 I promień swój w słońcu kąpieli;
 Spadając z wysoka,
 Jak ziemia szeroka,
 Pomiedzy narody rozdzieli

Więc ptaszku kochany,
 Bądź zawsze widziany,
 Przed oknem mój chaty ojcowskiej!
 Podlatuj do góry,
 I garniej mi pióry
 Słoneczny promieńmi blask Boski.

Ty skrzydłem ze śniegu,
 Gdy w myśli mych biegu,
 Popadnę w bezsilne cierpienie;
 Odpędzaj, ocalaj,
 Od duszy oddalaj,
 Ponure o wszystkiem zwątpienie.

GOPŁO.

Przeszłość, przeszłość tu spoczywa,
 Snem umarłych drzemie sobie;
 Fala czasu tak przepływa,
 Jak ta woda po jój grobie.

Jasne światło księżycowe
 Na jeziorze modrém lśni;
 A ja na dno kryształowe
 Przez płynące patrzę zły.

Długo, długo ciemno było,
 Lecz się na raz rozjaśniło
 Dno piaszczyste w ciemném Gopło:
 Znać, że Bóg w tój topieli

Z nad jeziora usłyszeli
Spadające łzawe krople.

I widziałem ich tak wiele!

Te posągi czarne, srogie,

Krwawy Jesse, Grom i Lele,

Utopione bożki mnogie.

A na polach w téjże chwili,

Zmarli groby opuścili:

I myśliwskie rogi grają

Tuż, tuż przy mnie w koło tu!

Słyszę tentent, psy szczekają,

Zmarli wstają z swego snu.

Łódka moja na przestrzeni

W księżycowej fali stoi:

A tu z brzegów mnóstwo cieni,

Leci w oczy duszy mojej.

W rysie skóry przyodziani,

W połamanych hełmach szli, —

I jak chmury wiatrem gnani,

Tam daleko znikli mi.

Toż lirnicy biegli w górze,

Pieśń przy złotój gęśli brzmiąc,

I znikali w szarej chmurze,

I jam patrzył, jakby śniąc!

A w dniu wody Jesse stary,

Z bursztynowej spełniał czary

Jakby złoto, czysty miód;

A po gajach, pod dębami,

Przed kapłany swe z wieńcami,

Wiatrem płynął jasny lud.

Przez wieczorną chłodną rosę,

Piasek srebrem świecił się:

Tam boginie złotowłose

Majaczyły w modrej mgłę.

Cuda, cuda! W takięj porze,

Pewnie Ossjan z swą Malwiną

Siedząc w górach nad doliną,

Na szumiące patrzył morze

I palcami drżącej dłoni,

Potąd arfy budził ton,

Aż we zbroi, z wiatrem do niej

Duch Fingala zwabił on.

I zniknęli, znowu ciemno,

Księżyc w chmury spadł nademną, —

Jakby ryba nad wodami

Przecinała szklistą fal.

A jam płynął zamysłony,

Cały w przeszłość zatopiony,

Mgłą jeziora w chmurną dal.

I do wyspy łódź dobiega

Mysza wieża, czerni z brzegu,

Długim cieniem po jeziorze;

A duch zgrozy, który strzeże

Tę Popielów starą wieżę,

Rzekł mi: „pragniesz widzieć może

Zbrodnię w gruzach tych spełnioną?

Oto stoły zastawiono

I puławy srebrne dają

Piją wino i konają!

A tam widzisz z chat słomianych,

Idą, idą..... tłum nieznanych

Przyszdeł sądzić zbrodnie krwawe.“

Dość! już druchu dość!

Spiewaj raczěj dawną sławę,

Zamilcz dawną złość!

Po co zmarłych ze snu budzić,

Po co zmarłe cienie brudzić!

Przebaczenie im!

Niechby raczěj nam jaśniali,

Jak posąg — srebrni biali

Chrobrém mężtłem swém.

Szanuj gniazdo swe ojcowskie,

Szanuj ojców enoty boskie,

Zniknie próżny zał!

I przepłyniesz przez świat biały,

Jak ja w mojej łódce małej!

Przez Goplaną fal.

Nowy Rok.

Nowy Rok, bracia, z tym nowym rokiem
Kończąc rok zeszły, przejrzyjmy czas! —
Jak ten czas pędzi hucznym potokiem
I w drodze z sobą zabiera nas.

Spojrzyjmy w przeszłość — jak wiele trudu
Aby dopędzić obecne dni!
Ile łez i krwi i wojen ludu
Było potrzeba, nim weszli my.

My, praca wieków, bojów synowie
Znów bić się musim na łonie lat, —
I kończyć w twardym hełmie na głowie,
Wielką budowę — *duchowy świat*.

Więc, Budownicy, duchem i ciałem
Pracujmy! Ogień żarzy się w nas,
Jak potok w górach, lećmy z zapałem
Aż w morzu szczęścia, zabijem czas!

Bo czas trwa tylko dla rzeczy zmiennych,
Dla nieba nie ma czasu i dni,
Jak nie ma nocy dla słońce promiennych,
Tak czas zasypia u Bożych drzwi.

Lecz by wpaść na ten ocean cudów,
Potrzeba zgodnie rzucić się z gór;
Potrzeba świętej miłości ludów,
By doskonałość otrzymał twór.

Po tylu bojach, po tylu wiekach,
Stary przewodnik niech spocznie raz!
By mu sen twardy siadł na powiekach,
Potrzeba tylko miłości w nas.

Więc w nowym roku, nie nowe wojny
Nie zwykły dziejom nadajmy tok,
Zdobądźmy *duchem* ten świat spokojny,
Niech w walce będzie ostatni rok!

Ostatni, w walce o prawa ducha!
 A potem niechaj brzmia dzięki słów:
 Niechaj je Anioł śpiewa i słucha
 I niebo sobie zbuduje znów!
 Niech pod sklepieniem stufarbnój tęczy
 Znów zapomniany akord zadźwięczy,
 Zadźwięczy w świętych uniesień tok,
 Na nieskończony Aniołów rok!

IDEALY.

Czyż pieśni tylko na fantazji niebie
 Ideał wzniosły świeci wiecznie tam,
 O ideale! nigdyż ziemia ciebie
 W świat rzeczywisty nie odsłoni nam?

Czyż twoja piękność, Anielskie marzenie,
 Wiecznie w srebrzystej kwitnąć będzie mgie,
 Twojego czoła bijące promienie
 Nigdyż ludzkości nie objawia się?

Nigdyż wcielone mocy i uroku
 Potężne siły nie zadziwią świat,
 By do poziomów przywykłemu oku
 W wydarty niebu rozwinął się kwiat?

Czyliż poeta na akkordach lutni
 Myślą do ciebie żeglować ma wciąż?
 Po dźwiękach pieśni sercu jeszcze smutniej:
 Bohater lutni, zejdziesz dźwięków mąż?

Młodości! W tobie zapалу pochodnia,
 Marzenia święte jedna wcielasz ty!
 Od ciebie niebios powitam przychodnia
 W kształt ludzki Bóstwo oddaj, oddaj mi!

Płyną powoli ciche czasu chwile,
 Łzy i westchnienia i szyderstwa mkną,
 Ideał w górze ludziom starczy tyle,
 Że ledwie głowy pod promienie gną.

O! ty nie jesteś zaklętym w marzenie,
 Ty możesz świecić w rzeczywistych dniach;
 W kształt dotykalny żyjące zbawienie
 W rzeczywistości jaśniejiesz, nie w snach.

Lecz któż się wzniesie, by jak filar biały,
 Sklepienie świata ramionami wsparł;
 Głowę zanurzył w blasku Bożej chwały,
 W świat się piorunów, gwiazd i słońca wdarł?

Bo taki jedno, który zapanuje
 Na niebie chwały, ludziom świecić ma.
 Kto się cierpieniem ze ziemi rozkuje,
 Takiemu Pan Bóg promień bóstwa da.

Pekną te bramy dla grzechu zamknięte,
 Ducha światłości zatrzepocze lot,
 Nad głową jego błysną skrzydła święte—
 I blask upadnie aniołami cnót.

Młodości święta! ty! co czujesz wiele,
 Na tę wyżynę w kraje niebios dąż,
 A ujrzysz jako w naszym ziemskim ciełe
 Jaśniejże wieszczów idealny mąż;

Że doskonałość jedna cuda tworzy,
 Więc by zbudować, trzeba takim być,
 Trzeka czuć w sobie święty ogień Boży,
 A ziemia błędu, będzie u nóg drzyć.

Kiedy chcesz czerpać w źródłu światła blaski,
 Czerpniesz i rzucisz w ten chaosu zmet.
 O ideale! sprawco Bożej łaski,
 Swój archanielski rozpoczynaj pęd.

Nie tylko w pieśni na fantazji niebie,
 W rzeczywistości ty objawisz się;
 Dawno już wieszczę wyśpiewali ciebie,
 Niechajże w końcu ludzkość ujrzy cię!
 Na wieść o tobie rycerz zbroję miał,
 Ksiądz się w pokorze przed ołtarzem gwał,
 Męczennik bóle męczeństwa wytrzymał;
 Tyle poeta za twą wzniosłość wziął.
 Cóż kiedy żywy objawisz się w świecie?
 Na twe skinienie świat odmieni twarz,
 Bóg rzuca światło na upadłe dziecię,
 Świętością jaśnie cały rodzaj nasz.
 O! któż nie ze mną, któż tam nie podąży,
 Któżby nie zechciał jak ideał żyć?
 I komuż w duszy owa myśl nie krąży,
 Aby na ziemi doskonałym być?
 Nie w pieśniach piersi wyśpiewać są zdolne,
 Co duch natchniony w każdej chwili zna,
 Ani fantazje wymyślić dowolne
 Piękność, co z Boga w ludzką duszę gra.

W życiu być mamy światłem przemienieni
 W duch wszechmogący, my na świecie tym,
 Jak Bóg rozrzucać strzałami promieni,
 Bośmy cierpieniem odkupieni w Nim.

Młodości! tobie jednej pozostało
 Wznieść się i Boga oglądawszy, zniżyć,
 I tak poważnie, tak anielsko, biało,
 Jako mieczowym Archaniołom iść!

Gdziekolwiek wasza stopa ślad naznaczy,
 Wąż pogiębiony w prochu ziemi drży,
 W rozkosz się zmienia godziny rozpaczy,
 Młodości! będziesz ideałem Ty!

MOJE STRONY.

Pola, gdzie żniwa w plony obfite
 Stajami świecą jak dojrzły okiem,
 I łąki wonnym kwieciem pokryte,
 Wody szumiące jasnym potokiem, —
 Słońce, co złotem gaje powleka,
 Pełne uroku jak przyjaźń człowieka;
 Tam zeszedł błogo życia początek;
 Tam jest mój luby, rodzinny kątek.
 Pod skrzydłem dębu, topeli piórem,
 Gromada ptasząt zaśpiewa chórem;
 A w którą stronę wiatery powiewa,
 Słodką melodję w ucho się wlewa.

Pod drzewem domek dziada, pradiadka,
 Tam mnie na ręku nosiła matka,
 Wszystko się sercu tak mile śmiało,
 Wszystko com kochał, tam się zostało.
 Cieniste wierzby rosną nad strugiem,
 Dźwięczny skowronek buja nad smugiem
 I nad mogiły Krzyżackie lata,
 Spiewać mieszkańcom dawnego świata;
 A krzyż przy drodze, ten stróż poległych,
 Znak przyszlęj w życiu zmiany szczęśliwej,
 Słucha skowronka pieśni rzewliwej,
 O czasach dawnych, szybko ubiegłych.
 Pomnę wieczorem z czeladzią razem
 Śląc w niebo modły za szczęście dzieci,
 Ojciec przed świętym klękał obrazem.
 Dziś przy kościółku leży pod głazem,
 Cichy jak miesiąc, co mu tam świeci,
 Zimny, jak wichry co na grób leci.
 Co chwila nowy obraz się sunie,
 Co chwila nowe wspomnienie bieży,

Wnet deszcz rześisty z oka wylunie,
Piorun przez usta słowem uderzy.

Lecz po co skargi, wspomnienia moje ?
Przy was myśl smutna niech ma pogodę !
Płynicie mi dawnych pamiątek zdroje,
Z wami wesoło taniec zawiodę.
Jeszcze mazura usłyszę wdań,
Kiedy go szczera dziatwa wywija,
Ujrzę jak para parę omija,
Jak się w ich licach krew żywo pali.

Hej ! mi dziewczyno hoża, urodna,
Z twarzą rumianą, kwiatkiem we włosach,
Gdy masz sierp jutro rzucić po kłosach,
Dzisiaj na tany pośpiesz swobodna.

Ale dziewczyna zdala ucieka —
I czegoś płacze — na coś narzeka.
Jutro ją znajdziesz, jak blask poranny,
U stóp ołtarza Najświętszej Panny,
A za kochanka, co gdzieś tam żyje,
Wianek ofiarny Bogu uwije.

Dalej wspomnienia moje rodzinne,
Dalej piosenki ciche, niewinne,
Grajcie mi jeszcze przeszłość kochaną !
W kwiatki rokoszy świetnie przybraną !

ITALJA.

Italska ziemia, to jak dziewczyna
Na oceanu kąpie się fali,
Neapol cudne przegląda lica
Jak Amfitryta w łożu z koralu.

Białe kolumny, kwietne wybrzeża,
Gaj cytrynowy, kościołów wierzchy;
Wszystko się w morskiej fali rozszerza,
Zanim wieczorne upadną zmiérzchy.

Kąpie się włoska ziemia namiętna,
Wewnątrz ją trawi wulkanów płomień;
A w krew ję dziei i serc ich tętna,
Pałacy słońca upada promień.

Więc uciekają w morskie przestworze; —
I gdy się niebo iskrzy gwiazdami,
Rybak z gitarą idzie nad morze,
Cały Neapol dźwięczy pieśniami.

I pieśń jak miłość, jak włoskie słońce,
Przy złotostrójnej gitarze dzwoni.
Świecą wulkany ogniem płonące,
Neapol płynie w ognistej toni.

Namiętna ziemia, wrząca w miłości,
Nadobne kształty w wodzie rozciąga, —
I marzy dziwne cuda piękności,
Aż je oblecze w szaty posaga.

W jakie filarów kościelnych nawy,
W gmach Watykański myśli rozwiesza,
W boskiej komedji poemat krwawy,
I w marmurowy posąg Mojżesza.

I na to wszystko powieje dźwiękiem,
I wonią gajów pomarańczowych;
Aż umysł w owych cudach tęczowych
Pod dziwnych wrażeń upada dźwiękiem.

To ziemia marzeń! Jest inna ziemia,
 Kędy marzeniom nie wolno krążyć;
 Tu cień się czarny bujno rozplenia,
 Jakby chciał skronie ziemi obciążyć.

I lasy szumią, groby przestronne,
 Nie znajdziesz modrej groty Sorentu;
 Wpółśród srebrzystej wody odmetu,
 Na dnie figury śnią utopione.

Czy dawne bogi, czy ludzie dawni,
 Nie pytaj! ziemia mówić nie może:
 Lecz zawsze pewna, że to są sławni,
 Kiedy im dano srebrzyste łoże.

Ziemia ta w rozkosz się nie zanurzy,
 Nad nią się wloką nawalne chmury,
 Pioruny nad nią drą szatę burzy
 I oświecają droge do góry.

A na niej prorok z rozdartą szatą
 Wielką tajemnic otworzył księgę,
 I woła: ziemio! nie płacz, bo za to,
 Całą świętości dzierzysz potęgę.

Inna to ziemia, pamiętaj na nią,
 Ziemia proroków twoją jest ziemią,
 A na tej ziemi ciennie się plecią,
 I otaczając jej skronie, ranią.

Pamiętaj nasze w grobach spotkanie,
 Naszej wędrówki głuchą noc ciemną —
 I te nadzieje w przyszłe zaranie —
 I te modlitwy śpiewane ze mną.

ZŁOTA KACZKA.

—Czyliż to prawda, że kiedyś źli ludzie
 Będą dobrými, jak nam ksiądz powiada?
 —O! będą ojeze! wszystko w Bożym cudzie,
 A człowiek w cudach nadzieję pokłada.
 —Wielkać to prawda....żebyście wiedzieli
 Wszystkoć to dziwnie, co jeno na świecie,
 Jest ci tu skała.... wy o niej nie wiecie,
 Boście tam jeszcze w góry nie zajrzeli.
 A pod tą skałą jest źródło wody świeżej,
 A na téj wodzie pływa złota kaczka:
 To przedzierniona jakaś tam bogaczka,
 Co kiedyś w złotej chodziła odzieży.

Dawnego roku poszli tamuj nasi
 Z proboszczem z nizin, a ksiądz miał gromnicę.
 Więc nie zgaśnię: bo co inne świece
 To zawsze gasi.... jeno téj nie zgasi.
 Wchodzą pod skałę.... niby kościół jaki,
 Niby to pałac wielki, jakiś taki
 Pięknie zrobiony; patrzą.... aż tu żywa,
 Złociuchna kaczka w wodzie sobie pływa.
 Więc ksiądz jak zaklnie.... a kaczka do wody,
 I już jój niema. Czekają.... czekają....
 Ksiądz klnie drugi raz, coś jękło: słuchają....
 Aż tu głos jakiś wychodzi z pod spodu.
 „Jam jest księżniczka z wysokiego rodu,
 W złocie się jeno kochałam za młodu,
 Więc Bóg mnie skarał, i jako widzicie
 Taką zostałam już na całe życie.“
 Ksiądz znów się pytał: coby dusza chciała?
 Ale mu dusza nie odpowiadała.
 I wyszli wszyscy.... na górach ściemniało,
 Jak to zwyczajnie pod wieczór, mój Panie!

Idą Dunajem, aż tu słyhać granie,
Lecz nie pastuchy.... to w jamie śpiewało—
I tak do dziś dnia pono jeszcze śpiewa
Ona zakłeta, co tam sobie pływa.

Tak to mój Panie! wszystko z Bożej woli,
Co jeno żywie, wszystko Bożym cudem,
Nad naszym Pan Bóg miłosierny ludem,
Dał owies w górach i kruszynę soli.

A kiedy w świecie Pan Bóg cuda czyni,
To on też może złych ludzi przemieni.

—Gdzież wy idziecie? — Idę w Kościelisko.

—Czy to daleko? — A nie bardzo blisko;

Pasie tam było chłopak szwagra mego,

Ma on i budę, to wstąpcie do niego.

STRZELEC.

Czarne, spokojne patrzy Morskie Oko,

Góry go w koło obsiadły,

A nagór szczytach daleko, wysoko,

Deszczowe chmury opadły.

Nad brzegiem stawu kamienie sterczą,

Swierkowe zielenią lasy,

A pod skałami ogniska skwierczą,

Przy ogniu siedzą Juhasy.

Niżej po dołach z szumem się wali,

Spieniona rzuca się woda;

Dziarska jak dusza owych Górali,

Gdy w nich zakipi krew młoda.

—A cóż czy pójdziem dalej na góry?

Rzekłem jednemu z Górali.

—O ho! nie pójdziem! na Mnichu chmury,

Lepiej zostaniem na Hali.

Więc przy ognisku usiadłem z niemi:

Jeden na ogień nakładał,

A stary Juhas leżąc na ziemi,

Różne mi wieści powiadał.

Byłci tu, rzecze, strzelec nie lada,

Na dzikie kozy polował,

Chłopcem paść bydło u mego dziada

I jakoś dobrze się chował.

Służył w żołnierce, a kiedy wrócił,

Ze strzelbą po górach latał,

Co on też, Panie, kniei przerzucił!

A ile kozłów pozmiatał!

Ludzie mówili, że z djabłem trzyma,

Nigdy pacierza nie mawia,

Ni w chacie świętych obrazów męma —

Ni się na odpust wyprawia.

Jeno się strzelbą lubi zabawiać,

Bezbożne piosneczki śpiewać,

Umie po górach kozy zamawiać,

I złego ducha wyzywać.

A gdy on nie chciał, to nikt już, panie,

Żadnego zwierza nie ubił;

Choćby nie wiem co, próżne staranie!

Każdy źle mierzył, ślad zgubił.

A trza wam wiedzieć — jest tu staw taki,

Nad którym święta Królowa

Siedziała kiedyś — kiedy Polaki

Wygnał poganin z Krakowa.

Więc raz w Niedzielę poszedł na górę,

Nad owym stawem stojącą —

I nad tym stawem widział figurę,

W jasnych promieniach chodzącą.

I zeszedł z góry.... i patrzył zdala...

Święta nań groźno skinęła!

I nagle z oczu strzelca Górala

Nie wiada kędy zniknęła.

Widno mu karą Bożą groziła:
 Strzelec się w grzechu nie smucił, —
 Pobiegł za kozą, noc się zrobiła,
 A on z kąd wyszedł, nie wrócił.
 Jenó pastuchy gdy w tamte strony
 Bydło wygnali za skały,
 Widzieli jak tam czarne gawrony
 Po nad przepaścią latały.
 Potém mi prawił co tam słyszeli,
 O duchach, o złotój górze.
 Jeśli wy kiedy będziecie chcieli,
 To wam te wieści powtórę.
 Szumiała woda.... ciemno na świecie....
 Jam zmówił pacierz w pokorze,
 A Góral dodał: wy nie zginiecie,
 Boście katolik. — Daj Boże!

Wspomnienie.

W kolebce jeszcze, kiedy dziecina
 Śpi w cieniu liści różanych,
 Cóż jest, co dziecku w śnie przypomina
 Aniołów w niebie widzianych?
 Co twarz dziecięcia śpiącą, rumianą
 Słodkim uśmiechem powleka?
 Czyli to duchy schodzą w dni rano
 Do téj kołyski zdaleka?
 O! to nie duchy, to tylko cienie
 Znikłych przed chwilą widziadeł;
 Z myśli odbite patrzy wspomnienie,
 Jak obłok z wodnych zwierciadeł.

Wspomnienia przeszłych dziecinnych chwilek:

Złote jabłuszko, zabawka,
 Farbami tęczy strojny motylek,
 Kwiaty na łące i trawka.

Czém są te dziwne mary, gromadnie
 Przed myśl dziewczyny pędzone,
 Że na jej usta śmiech czasem padnie?
 Czasem łąą oczy oszklone?

I wtedy wsparta na białej dłoni,
 Przy dźwięku tonów odległych,
 W ciemnej ogrodu pustej ustroni
 Szuka obrazów ubiegłych.

O! to nie duchy. W głowie dziewczyny
 Roją się cuda widziane,
 Są to wspomnienia z serca głębiny,
 W chwili dumania wyzwane.

Czém jest ten ogień w piersiach młodziana,
 Czém rozpacz serce mu ściska?
 To jakaś mara, myślą wyzwana,
 Piekłem przed oczy mu błyska.

To jakieś widma, co go kołyszają
 Rycerską pieśnią, powieścią,
 Grają mu zdala, a myśli słyszą
 I serce dręczą boleścią.

To jakieś duchy mężów walecznych,
 Stróżowie ruin na zmroku,
 A we dnie, w swoich trumnach odwiecznych
 Z mieczami śpiące u boku.

To jakieś dziady z lutniami w rękę,
 Przy ogniach chaty wieśniaczek,
 To znów okute widma, bez jęku,
 Z wyrazem niemój rozpacz.

Czém są te mary, straszliwe cienia,
 Cóż w jego myślach tak tańczą?
 Czyliż są karą Bożą, szarańczą?
 To..... wspomnienia.

SIEROTA.

Oj daleko za Dunajem wyrosła wierzbina,
Oj daleko nad Dunajem płakała dziewczyna.

Rozpuściła długie liście wierzba po strumieniu,
Rozpuściła długie włosy dziewczka po ramieniu.

— „A co tobie? Kasiu miła, panno urodziwa!
Cóżeś taka zapłakana, taka nieszczęśliwa?”

„Nie poradzisz ty paniczu, nie powiem ja tobie,
Wierzba smutna nad Dunajem i ja smutna sobie.”

„A jak dawno zapłakane czarne oczy twoje?”

„Oj! tak dawno jak ta wierzba moczy liście swoje.

„Rozwesel się dziewczę lubie, uśmierz żal okrutny!”

— „Oj! prędzej się rozweseli ten miesięczek
smutny”

Oj! prędzej się rozweseli smutne wiatru wianie,
Nim się skończy żałośliwe sieroty płkanie.

Bo sierota niby miesiąc, żalosno nieboże
Całe życie goni słonko, a doznać nie może!”

DUMKA.

Przygniótł chęci ciężar losu,
 Tak mi w duszy przykro, smutnie,
 Pragnę pieśni — chwytam lutnię,
 Jój tkliwego słucham głosu!

Burzo! Nie chcę wichrów twoich,
 Bo z kolebki w burzy wzrosłem,
 Po co wskrzeszać co już zniósłem,
 Przyjaciółko uczuć moich?

Pójdź do oka łezko jedna!
 Tak mi ciężko, przykro, nudno....
 Pójdź do oka łezko biedna,
 Bo tak dłużej zostać trudno!

Ot i cicho! zmiłkły struny,
 Cicho, ciemno, niby w grobie,

Tylko wiatry, burz zwiastuny,
 Dziką piosnkę grają sobie.

Tylko miesiąc z chmur wygląda,
 Siejąc światło drżące — płowe,
 Na młodzieńca patrzy głowę,
 O coś pyta, — czegoś żąda.

Innym miły cień bladawy,
 Co jaśnieje w zorzy brzasku,
 Lśniąca rosa nad murawy,
 Ziemski anioł w świetnym blasku.
 Lecz gdzie smutek pokrył lica,
 Oczy gorzką łzą spłynęły,
 Tam nadzieje zagięły,
 I przedmiotem — nie dziewica

Tam już słaby dzień wesela,
 Nie rozjaśni duszy biednej,
 Tylko wiara przyjaciela,
 Uczuć jednych, — myśli jednej.

WIECZÓR.

Nad zachodem ptaszek śpiewa,
 Woń w powietrzu się rozlewa
 Orzeźwionych drzew.
 Muszek drobnych stado w pędzie,
 Koło echa brzęczyć będzie,
 Swoją zwyczajny śpiew.
 Gwiazdka wejdzie na sklepieniu
 I utonie w twym spojrzeniu
 Jak w lustrzanym tle.
 A na łzę co w oczach błysnie
 Różnobarbnym światłem prysnie,
 I zadumasz się.

Tęskność sercem ci o władnie,
 A westchnienie myśl ukradnie,
 Dla nieznanych ziem;
 Gdy wiatr pocznie piosnkę nuć, —
 Ty byś pragnął świat porzucić,
 Aby zostać nim.
 I popędzić szybkim skrzydłem
 Za cudownym malowidłem,
 W ubóstwiany świat.
 Gdzie nieznane niepokoje,
 Gdzie się toczą uciech zdroje,
 Gdzie marzenia kwiat.
 A jeżeli tam, — za światy
 Moich marzeń skarb bogaty
 Zniknąłby jak cień;
 To po ziemi biegłbym własną,
 Szukał czy też w chatce ciasnej,
 Jest szczęśliwy dzień.
 Chciałbym sięść pod ojców grzędą,
 Słuchać co też mówić będą,

W lubych stronach tych;
 I spotniałe obwiać czoło,
 I sprowadzić myśl wesolą,
 Śmiech na usta ich.

Swój kochance łzę osuszyć,
 Siwym starca włosem ruszyć,
 I znów dalej biedz;
 Gdzie grób matki. braci groby,
 W ten samotny kąć żłoby
 Po wiek wieków ledz.

O! zapłaczesz, gdy te myśli
 Teskność w głowie twój nakreśli
 Pędzłem czarnych farb;
 Więc godzinę tak spędzoną,
 W tłumie marzeń przemienioną
 Licz na cierpień karb!

Póki młodość w tobie żyje,
 Póki serce silnie bije,

Żalu dźwięków stroń!
 Patrz daleko, czuj głęboko,
 Młodą duszę wznos wysoko
 I za celem goń!

Obraz po burzy.

Po burzy drzewa wytehnęły,
Splukane krzewy powstały —
Jakby się ze snu ocknęły
I łzami na świat patrzyły.

Na róży mała kropelka
Poblądłe lica oszklili,
W głębią się listków stoczyła
Zimna, świecąca, nie wielka.

Jaskrawe słońce w zachodzie
Zatrzęsło czerwonym wzrokiem,
Zgubiło promień na wodzie
I z mojem zeszło się okiem.

I cały świat był rumiany,
Jak twarz dziecięcia w pościeli...
I cały świat był skąpany
Jak nimfa srebrnych topieli.
Piorun gdzieś huczał zuchwały,
A kwiatki z niego się śmiały.

Blado-niebieska załona,
Po falach wodnych rzucona,
Zawlekła szatę na ziemi;
Słońce w świat inny uciekło,
Niebo się w gwiazdy oblekło
I wszystko ściechło pod niemi.

Patrzałem jeden samotnie,
Słuchałem jeden strumienia;
Gadał z kamykiem łoskotnie
I moje zrywał marzenia.

O kwiatkach mówił, o grzmocie, w I
Prawdy słuchało gwiazd krocie,
I ziemia słuchała śpiąca —
I wietrzyk, co kwiaty trąca.

„Chociażby burza świat rwała,
To mężny jeszcze niech działa!”

Popchnięty kamień spadł na dno,
Strumień popłynął swobodnie;
Tak wszyscy ludzie przepadną,
Co w świecie żyją niegodnie.

Nie darmo ich wiatr podsłuchał,
Bo kiedy chmury przybiegły,
On dzielnie w skrzydła ich dmuchał,
Aż się rozpierzchnęły, poległy.

Nie darmo ziemia słuchała,
Bo skoro w burzy grom trzasnął,
Powietrze rozdarł i zgasał,
A ziemia plony wydała.

I w mojej myśli tak pięknie,
Choć w oku tęskna łza kręci,
Bo już na arfie pamięci
Struna ponura nie brzęknie.

Wypłyń! I cóż was, oczy, zwilżyło?

Przeszłać znać skoro koło potoczym,
Choćby się wszystko zjiściło,
To jeszcze marzyć jest o czém.

JAK KOCHANOWSKI.

A gdy już przędz nie stanie się przędz,
To przędz pismo i w drobne wiekzaste
Wnet się cieknie i w ten szczęśliwy czas
Kto żył dla ludzi dobrze w swoim czasie.
I jako na świat przyszedł — tak i schodzi w świat
Czysty, jako się sprawiedliwym godzi
Walczyć, kto światu poświęcił się
I którego żywot jak żelazo cieknie

JAN KOCHANOWSKI.

Łaskawe życia naszego szafarki,
Ciągnań nic złotą pracowite parki,
Na wrzecioneczkach żywo namotają;
Dni nasze w złote kłębki nawijają.

A gdy już przedzi nie stanie srebrzystej,
To przetną pasmo i w drodze wieczystej,
Wnet się człek ujrzy; ten szczęśliwy zasie,
Kto żył dla ludzi dobrze w swoim czasie.

I jako na świat przyszedł — tak i schodzi,
Czysty, jako się sprawiedliwym godzi.
A świat był jemu płomieniem ognistym,
Z którego żywot jak żelazo czystym

Wypłynął w wieczność, tam gdzie ojce, dziady,
Przeszli po cichu — na wspólne narady.

Zielona lipo moja, w której cieniu
Siadam i słonecznemu kryje się promieniu;
Jakże to wiele z tobą rozmawiałem,
Jakże to różne myśli wyśpiewałem!
Za każdą, złotą struną potrącając;
A że przegrałem życie, wdzięcznie grając.
Mogłem ci wprawdzie w zbroi, przypasany
Do miecza rycerz — i między dworzany
Stanąć królewskie. Lecz ty, lipo moja,
I ty mi, geśli, milszaś niżli zbroja!

Śpiewak też równie myślą sprawy ima:
I świat mu cięży jak hełm nad oczyma,
Za poczciwości chroniąc się pawężą,
Tnie prawdę mieczem — aż smoki poleżą,
Albo zapaśnik legnie, — wszędy boje!
Walczy, kto ima lutnię jak i zbroję.
I świat jednako nagradza też one,

Liście na głowę wkładając zielone.
 Tak nad mieczowym Greckim bohaterem,
 Jako nad ślepym śpiewakiem Homerem;
 Jedno, lauru liście skroń obwiodły;
 Ziemia cóż ludziom da? — jeno chwast podły.
 Pod cienie lipy mojej, gościu pożądany,
 Spiesz się, tu cię pokrzepi mój dzban polewany,
 Złota przywita lutnia i ubogie progi,
 I kwiaty mego sadu, a domowe Bogi
 Sen ci spuszcza przyjemny — aż cię zbudzą
 z rana,
 Na gołębniku ptaki i klekot bociana,
 Lub wierzbowa fujara.. — Gościu mój kochany
 Usiądź ze mną za stołem, i wianek różany
 Przyjmij — fraszka ziemskie rzeczy,
 Byle ojców obyczaj szczerze mieć na pieczy!
 I stare kochajmy się, rad zawsze wspominać,
 I umieć sobie z Bogiem, i szablą poczynać.
 Toć wszystko — więcej człowiek uczynić nie
 może,
 Tępy ma wzrok, by odgadł dziwne sądy Boże.

Więc się cieszymy nadzieją, chwytajmy sny złote,
 Że nam naszą poczeiwość i ojcowską cnotę
 Nagrodzą, — choćby płocze te sny były,
 Praw li komu się one na świecie przyśniły.

Pójdź gościu w moje progi, otwarte ci wrota,
 Wita cię stara prawość i stara prostota,
 Zrzuć zbroje i rumaka pachotkowi oddaj,
 A zwyczajom się naszym staropolskim poddaj!
 Chcemy sobie być radzi,
 Rozkaż Panie czeladzi,
 Niechaj na stół dobrego wina przynaszają,
 A przytém w złote geśli albo w lutnię grają!

TESKNOTA.

Czy mnie matka porodziła

Pod nieszczęsną gwiazdą?

Czy mi wiedźma określiła

Rodzicielskie gniazdo?

Całe noce, dnie i lata

Płaczę bez ustanka;

Przyszły swaty, — nie chcę swata,

Meża, ni kochanka.

Oj! pojechał, oj pogonił

Maciek na wojenkę;

Ni zasłonił, ni obronił,

A rzucił panienkę.

Sama kołacz pieklam w droge,

I skaplerzyk dała —

Odjechałci mnie nieboge,

Com go tak kochała!

W dzień Najświętszej Matki Boskiej,

Siła gromuic jaśnie;

Z wszystkich świeczek całej wioski,

Moja pierwsza gaśnie. —

Zima idzie, liść opada,

W polu pies skowyczy;

Nocą pućka na dach siada:

„Pójdź Marychno!” krzyczy.

Pewno zanim ja zobaczę,

Kochaneczku, ciebie!

Pierwój mateńka zapłacze,

Na moim pogrzebie!

Oj! przyspilcież mi nad głową

Rozmarynu ziele, —

Suknię białą — a różową

Wstążkę na wesele!

Zaśpiewajcie mi piosieczkę,
 Moje siostry młode;
 Pochowacie swą dziewczeczkę,
 Zagasła urodę.

A lubemu jak zaszuka
 Do chatki mateczynój,
 To powiedźcie niech nie szuka
 Marysi jedynój.

Leży ona przy kościele,
 Pod zimną mogiłą;
 Świętą ziemię zielska wiele
 Nad nią umaiło.

Nad mogiłą, w nocnej dobie,
 Błądzi płomyk mały; —
 To jęć dusza tańczy sobie
 W sukieneczce białej!

NIEMA MODLITWA.

W kościele cisza, złote ołtarze,
 I marmurowych posągów twarze,
 Filary białe i groby, w cieniach
 Drzemia. Posępna lampa gdzieś w dali
 Przed krzyżem czarnym drżąc się pali;
 W kościele cisza, jakby w marzeniach
 Święci zasnęli.... I tylko czasem
 Jakowy obraz promień z wysoka,
 Z po za ciemnego biegąc obłoka,
 Przez szyby złotym owinie pasem.
 Wtedy zobaczy twarz Maryi Panny,
 Jako twarz czystej gwiazdy zarannej,
 Konającego Chrystusa głowę

Muśnie promieniem światło grobowe.
 I znowu ciemno, cicho w kościele,
 Duchy milczeniem o świecie radzą,
 A jednak ludziom radzą tak wiele;
 Milcząc, wsze światy prowadzą.
 Przed żelaznemi drzwiami kościoła
 Klęcząca postać, czyto anioła,
 Czyli niewiasty, czy też duch jaki
 Co na tym świecie sprawia pokutę,
 Śpiewa pieśń Bogu na niemą nutę,
 I sercem takty wybija? Dusza
 W cudnie harmonii wybiega światy,
 I muzykę tonów zagłusza.
 Cisza! A kto tę ciszę zrozumie,
 Ten z Bogiem rozmawiać umie,
 Ten jeden pojmie anioła
 Co klęczy u drzwi kościoła.
 Anioł szczęśliwy, nie żąda sobie,
 Ni śpiewa sobie. Nim świat się żali,
 W nim są ci wszyscy, co leżą w grobie
 I ci co jeszcze zostali.

Anioł się modli za zmarłych żywych,
 I za umarłych modli się Bogu.
 Więc wszyscy ludzie klęczą u progu,
 A klęczą w modłach prawdziwych.
 A tam w kościele ukrzyżowany
 Chrystus im swoje odkrywa rany;
 Głowę opuścił na piersi;
 Jak gdyby mówił: i ja cierpiałem,
 Skonajcie wszyscy jak ja skonałem.
 A w Bogu będziecie pierwsi.

BRAT I SIOSTRA.

Nie siwa kukułka w ciemnym boru kuka,
Nie mała ptaszyna gniazodka sobie szuka.
Z miłym bratem siostra rozmawia zdaleka.

Co słówko powie,

Wiatr uchem łowi,

Milego słówka czeka.

— Bracie mój, bracie, — gołąbku szary,

Przyjdź pod ten jawor stary,

Przyjdź do mnie, pociesz nieco!

Bo widzisz, łzy lecą.

— Siostrzyczko moja, — siostró rodzona,

Ja gołąbeczka młoda,

Jakżeż ja przyjdę? Daleka strona,

Góry, lasy i woda,

— Przeleć sokołem, lasy, wertepy,

Przypłyn łabędziem przez wody duże.

Przebież przepiórką szerokie stepy,

Gołąbkiem spadnij na me podwórze!

Rozwesel serce twoje, nie czyje,

Co mi tak bije.

Cudze dziewczyny z cerkwi wychodzą,

To śmieją się, to komoszą,

Jako jaskółki, swarzą się, godzą,

Na kołacz ludzi proszą.

A mnie nie proszą na kołacz biały,

Na chleb, na sól gościnną,

Dawniej mnie siostrą rodzoną zwały.

Takby to być powinno.

Dziś uciekają jak od zarazy,

Aż mi łza z oczu ściekła,

Drużki nie drużki, to zimne głązy,

Rodzina się wyrzekła.

Anioł i Dziewczyna.

Do ślubu dziewczę główkę stroiło,
Co przymierzyło, to odrzuciło.
Do złotych włosów bierze fijołek,
I chociaż piękna, żywy aniołek,
Odrzuci kwiatek, i dziwna cała,
To się zaśmiała, to zapłakała.

— „O miły Boże! jakże nieładnie!
Czy nie do twarzy mi nie przypadnie?
Gdzież najpiękniejsze kwiaty w dąbrowie?“ —
Aż ję po cichu Anioł odpowie:

— „Spójrz w lustro jak się w niem płoni
Rumiane lice kwiatem jabłoni.“ —

— A gdzież są dla mnie perły na szyję? —
— Perłami łezka za łezką bije. —
— A gdzież weselna moja muzyka? —
— Ciche westchnienie w fali wietrzyka. —
— A rozkosz moja w chwilach zamezcia? —
Lecz Anioł uciekł od tego szczęścia.

PIEŚŃ UKRAIŃSKA.

Na pagórkach śniegi leżą,
Po dolinach wody bieżą,
Po zagonach kwitną maki, —
To nie maki, a Czumaki,
Z Krymu bieżą, ryby wieżą.

Matka syna poznawała,
Nie poznała, — zawołała:
Pójdź Czumaku, pójdź do chaty
Wymyć lico, zmienić szaty!

Pilnuj matko krasy swojej —
Lub rodzonej siostry mojej!
Drobne deszcze mnie obmyją,

Czarne ciernie włos rozwijają,
A osuszają blaski zorzy,
Bujny wiatr włos ułoży.
Dla Czumaka, dla kozaka,
Dla stepowej hardziej duszy
Dość powietrza, — a jak ptaka
Wiatr go myje, słońce suszy.

KALINA.

Czego ty kalino smutna
Bo młodego Jasia niema.

POWIASTKA GMINNA.

Rosła kalina z liściem szerokiem,
Nad modrym w gaju rosła potokiem,
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowém słońcu liście kąpała.

W Lipcu korale miała czerwone,
W cienie z gałązek włosy wplecione.
Tak się stroiła jak dziewczę młode,
I jak w lusterko patrzała w wodę.
Wiatr co dnia czesał jej długie włosy
A oczy myła kroplami rosy.

U téj krynicy, u téj kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny—
I grywał sobie, długo, żałośnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie.

I śpiewał sobie: dana! oj dana!

A głos po rosie leciał co rana;

Kalina liście zielone miała,

I jak dziewczyna w gaju czekała.

A gdy jesienią w skrzynkę zieloną

Pod czarny krzyżyk, Jasia złożyła,

Biedna kalina znać go kochała,

Bo wszystkie swoje liście rozwiała.

Żywe korale rzuciła w wodę,

Z żalu straciła swoją urodę.

DWA DĘBY.

Nad modrym stawem dwa dęby stały,
A bardzo dawne, po sto lat miały.

Raz przy miesiącu nad cichą wodą,
Dąbek staruszek potrzęsnał brodą.

I z drugim dębem rozmowę wiedzie:

— „Co z ciebie będzie miły sąsiedzie?

Ze mnie kołyskę dla dziecka zrobią,

Sianem wyścielą, liściem ozdobią.

Będę kołysał małe dzieciątko,

Albo chłopaka, albo dziewczątko.“ —

— „A ze mnie, drugi dąbek odpowie,

Żłobek dla koni zrobią majstrowie,

Nademną dużo zawieszają siana,

Przy mnie stać będzie konik ułana.“

A pierwszy na to: — „Bądź sobie żłobem;

Ja będę dzidą z żelaznym dziobem.“ —

— „Mój miły bracie, nie mów tak szumno;

Ty będziesz dzidą, ja będę trumną.

Pięć desek zbiją na wieczne spanie,

Któż tedy z człekiem dłużej zostanie?“ —

A pierwszy na to: — „Bądź trumną sobie,

Ja będę czarnym krzyżem na grobie,

A na nim napis będzie wyryty:

„Tu leży wojak w bitwie zabity.“ —

KOMU WIANECZEK?

Dziewczyna w okienku wianeczek wije,
Dziewczyńnię ogniście serduszko bije:

A rychłóż tam przyjdzie młody kochanek?
Pośpieszaj, dostaniesz liljowy wianek!

Więc przyszedł parobek, nisko się skłoni,
Dziewczyna się śmieje, gadajże do niej!

Więc przyszedł z miasteczka majster w zaloty;
Oj! szkoda majsterku twojej ochoty.

Więc panicz przynosi serce w ofierze,
A dziewcze się w śmiechu za boki bierze. —

I poszli do ojca żalić się na nią
Ha! trudnoć, toż ona swęj woli panią.

Tymczasem dziewczyna smutno wzdychała,
W dalekiej dąbrowie kogoś szukała.

Nie chłopka parobka, nie mieszczanina,
Ani też panicza chciała dziewczyna.

I komuż liljowy wianek przypadnie?

Ja pewno nie zgadnę, może kto zgadnie.

77

Polskie piosnki ludowe.

„Tam najpierwsze szczęście moje,
Tam najpierwsze niepokoje.“

TRZY KUKUŁKI.

O! wyleciał sokół, wywinął się w górę,
Trzy razy nad sosnę, dwa razy nad chmurę;
Odpoczął na górze, na samym wierzchole,
I skręcił się w pole.
Bujny wicher wieje,
Aż się sosna chwieje.
Nie chylaj się, sosno,
Mnie i tak żałosno!

Uderzyła strzała z wysokiego nieba,
Kogóż tam zabiła? wdowinę syna,
Daćby znać potrzeba,
By przyszła rodzina
Pożłować,
Pogrzebać, pochować.

Oj! przyleciały trzy kukułki siwe,
Wszystkie żałośliwe:
Jedna upadła gdzie zimna głowa,
Druga upadła gdzie chłodne nogi,
Przy samém sercu trzecia upadła.
Przy głowach matka uboga wdowa;
Przy nogach miejsce siostry niebogi,
Przy sercu jego miła usiadła.

Gdzie matka płacze, tam krwawa rzeczka,
Gdzie siostra płacze, łzawa krynica,
Gdzie miła płacze, tam sucha steczka.

I taka ludzka powiadannica:
Że matka płacze z roku do roku,

Długo łąy świecą w siostrzynie oku,
 A miła płacze, inną myśl łąwi,
 O innym mówi.

DWIE ZORZE.

Hej! tam na górze stała cerkiewka,
 Przy niej dzwonnica nowa;
 Wyjdziej dziewczyno, wyjdź czarnobrewka,
 Jak miesiąc w las się schowa,
 Wyjdziej dziewczyno przed słońca wschodem,
 O najraniejszej zorzy.
 Porwie się dziewczę zbudzone chłodem,
 Na ściegają drzwi otworzy.
 Zorza już weszła szeroko, długo,
 Pooświecała góry;

Patrzę na jedną, patrzę na drugą,
 Dziwić się nie wiem której.
 Czy tej na niebie całej we złocie,
 Co rzuca wciąż oświatę;
 Czy tej na progu mojej sierocie?
 Patrzę na tę, to na tę.

Jasna zoreńka, Boża służeńka,
 Niech sobie świeci Bogu!
 A mnie niech kocha moja dziewczynka,
 Tak ot, jak stoi w progu!

81

RUSAŁKA.

Idzie Kasia borem, koszyk jagód niesie,
Aż ci jój Rusałka zastąpiła w lesie.

— „Odpowiedz dziewczyno na te trzy pytania,
Lub cię załaskoczą moje łaskotania :

Co kwitnie bez kwiatu? bez powodu bieży?
Co śniegiem bieluchnym w skwarném lecie śnieży?“

Rozśmiej się dziewczę i na to odpowie :
„Woda bez powodu bieży po dąbrowie.

A paproć bez kwiatu zakwita po lesie,
A śnieg letni, piana, którą woda niesie“.

81

Dwa Pogrzeby.

I trumnę na marach bogatych złożyli —
I ciało całunem bogatym okryli,
Światła jarzące dokoła zarzegli. —
I przy stopniach żałobnych pachołcy zalegli,
Kadzidła nad ciałem rozwiewając wonne.
Pokrewne niewiasty, do płaczu tak skłonne,
Łzy sączą, szlochają, — bo cichy umarły
Ładowne im skrzynie zostawił ze złotem;
Bo z śmiercią się jego drzwi skrzyni otwarły
I brzękły pieniądze krwią zlane i potem. —
Patrz! Jedzie wóz czarny, przed wozem
zakony, —
Skry trzęsą, pochodnie; z kościołów brzmią
dzwony

I wielka czereda powoli się toczy
 I suche przeciera oczy.
 Idź, słuchaj! Tam mówca wylicza pochwały
 I dobre uczynki i chęci przyjaźne!
 Te dobre uczynki — zawdy niewyraźne,
 Dziś jasno nad grobem powstały.

Wrzucili do grobu, — odchodzą, cóż czekać?
 Odchodzą na stypę by pić i narzekać;
 A żonę, kochankę, w wytwornym salonie
 Pociesza przyjaciel po kochanka zgonie.
 I wkrótce puharem zabrzękną weseli —
 I złożą ramiona na uścisk namiętny —
 I wzajem ich pali wzrok żądzy ponętny —
 I łączy ich miłość, jakiej śmierć nie dzieli.
 A przecież, inaczej! — O biedni wy ludzie!
 Wasz związek na brzydkiej oparty obłudzie.
 A dumna myśl wasza, a serca kamienne.
 To same głupstwa przemienne!

*

*

Pod strzechą ubogą, na pęku słomianym
 Odpoczął na wieki chłopiek niebogaty.
 Niewidno czeredy, nie pała objaty,
 Sierota córeczka nie patrzy za wianem.
 I tylko w koszuli z potarganym włosem,
 Z dzikiemi oczyma stał dzieciak trzyletni:
 Twarz dziwnie skrzywioną łąza mu nie uświetni,
 Kwilenie zastąpił niemym jakimś głosem. —
 Przy głowie zmarłego matka pochylona
 W rątnuchu ukryła swoją głowę biedna,
 I płacze serdecznie, — bo też opuszczona
 Zostaje na ziemi dzisiaj sama jedna. —
 I pusto w poddaszu, krom psa, co żałośnie
 Pysk w górę podniosłszy, skowyczy rozgłośnie.

Patrz! Oto w pięć desek owinęli ciało,
 Koń nędzny je wlecze na smentarz kościelny,
 I ludzi kilkoro za ciałem biegało.
 Powieźli biednego, — nie dzwonili z wieży.
 Tam złotem odziany, tu w nędzy trup leży,
 Tylko, że biednemu był to akt weselny.

*

*

*

I przeszły pogrzeby... Gdzie sunął bogaty,
Z płonących pochodni dym czarny wędrował.
Gdzie na wieczne spanie biedak się pochował,
Krwawe łyzy matezyne odwilżały kwiaty.

1841 r.

Bądźże cierpliwy!
W mojem nudziarstwie,
Będę ci prawić o gospodarstwie:

Pierwszemu roku
Zaraz zubożał;
Młyn się obalił,
Kościół pogorzał.

Burza wyrwała
Lipę z korzeniem,
Co mnie cieszyła
Przyjemnym cieniem —

Kędy się do mnie
Chłopi schodzili,

I jak co robić

Spółem radzili.

Że się to razem

Prawie zdarzyło,

Więc mnie to jakoś

Bardzo zmartwiło.

I byłbym z tego

Bóg wie co wróżył,

Szczęściem mój wiarus,

Co u mnie służył

Zaszedł mi drogę,

—Ej kapitanie!

To co się stało,

Już nieodstanie.

Kościół na nowo

Się odbuduje,

Młynarz młyn sobie

Wyreperuje;

Oparę kroków

Dąb liść rozkłada,

Niech sobie pod nim awig

Kapitan siada!

Już ja tam ławkę

Z darni ustawił,

I w korę dębu

Obrazek wprawił.

Pocieszyłem się,

I aż w zapale

Szczerzem uścisnął

Jana wasalę.

I prawdę mówił:

Kościół już stoi,

Postawili go

Wieśniacy moi.

I nabożeństwo

Znów się odbywa;

Córka mój siostry

Na chórze śpiewa.

Razem z dziewczkami

W Bożym kościele,

Śpiewa na nieszpór

W każdą niedzielę.

I młynarz puścił

Wodę na koło,

I mnie pod dębem

Znowu wesóło.

Bywali u mnie

Młodzi panowie,

Lecz jakim widział

Że pustki w głowie;

Że tylko karty,

Tylko rozpustą,

A rozum, głowa

Sadło, kapusta —

Upadam do nóg,

—Rozumiesz Janie?

Nie ma mnie w domu, —

—Rozumiem Panie.

Zjeżdżają, przecie

Do dworu mego,

Dębski, przyjaciel

Ojca mego.

Z księdzem plebanem

Człeka odwiedzają,

Czasem dni parę

U mnie przesiedzą.

Ksiądz pleban z sobą

Do gry zaprasza.

Tedy siadamy

Do maryasza.

A gdy kieliszek

Umysł zagrzeje,

Stary wspomina

Swe dawne dzieje.

Proboszcz albanę

Często żążywa, —

I lzy ociera

I głową kiwa.

Co się to działo,

Co się to dzieje,

I zwolna do snu
 Głowa ciężeje.
 I po tych dniówowych
 Z życiem zapasach
 Zaśniemy, marząc
 O dawnych czasach.
 Grunta mam dobre
 Pszenne i żytnie,
 Przyjeżdżaj do mnie;
 Zboże już kwitnie.
 A że do Wisły
 Tylko pół mili,
 Więcże Sobótki
 Będziem palili.
 Stare zwyczaje
 Pragnę wprowadzić.
 Wiesz, że się niechcę
 Z ojcami wadzić.
 I owszem serce
 Me ukochało

To co po dawnych
 Ojcach zostało.
 Przyjeżdżaj do mnie,
 Będziemy sami,
 Poznasz się z memi
 Siostrzenicami!
 Ładne dziewczęta
 Dalibóg ładne,
 Skromne, wesołe
 W tańcu układne.
 Jak ci mazurka
 Zaczną tańcować,
 Jak Boga kocham,
 Trzeba zwarzować.
 Te owe minki;
 Te poruszenia,
 Tak niby też to,
 Niby z niechcenia.
 I wieniec z liści,
 Co skroń ocienia,

Tak jakoś dobrze ,
Tak od niechcenia.

A owa rączka ,
A owa nuzia ,
Oczki niebieskie
I śliczna buzia.

Poubierane
W białych sukienkach ,
Kochać się trzeba
W takich panienkach.

Tedy przyjeżdżaj ,
Będiesz jak w niebie !
Wyjdę z kielichem
Naprzeciw ciebie ,

A polowanie
Jutro założę ,
To i z dziczyzny
Znajdziesz comoże.

Kiedy to piszę ,
Moja dziewczyna

Już mnie o ciebie
Badać zaczyna :

A czy to młody ,
A kto on taki ,
Bardzo wesoły ,
Czy nudziarz jaki ?

Dajcież mi pokój !
Toż go ujrzycie.
Niechże przyjedzie ,
To zobaczycie !

KONIEC CZĘŚCI II-ój
I OSTATNIEJ.



1051/60 22-VI-60.

30—

1051/62 22-VI-62.

30—

821.162.1
Lenartowicz
Poczye

26655